

ZNAD WILII



DWUTYGODNIK

Rok VI, nr 24 (157)

Wilno, 15-31 grudnia 1995

cena 60 ct.
(1 zł., indeks 383678)

W numerze:

- Galeria — wernisaż Jarosława Rokickiego ...s.2
- Akademia Bałtycka — miejscem dialogóws.3
- Plac Łukiski w Wilnie sprzed stu latys.4
- Pierwsza polska korona Chrobregos.5
- W kręgu wilnian: dr Marlan T. Borkowskis.6
- Wilnianie laureatami POLCUL FOUNDATION s.6
- Nasze Małe Ojczyzny — Moje Bujwidzes.7
- Polacy w Belgii: Księżniczka z Lieges.8

Z TYGODNIA NA TYDZIEŃ

- 4 grudnia przebywający w Warszawie przewodniczący Sejmu litewskiego Česlovas Juršėnas oraz ambasador RL w Polsce Antanas Valionis złożyli zaproszenie odwiedzenia Litwy dla prezydenta-elekta Aleksandra Kwaśniewskiego.
- Prezydent RL Algirdas Brazauskas dekretem z 5 grudnia zwrócił się do Sejmu o uchwalenie dokumentu "O zgłoszeniu Republiki Litewskiej dotyczącym członkostwa w Unii Europejskiej". Sejm wyraził zgodę, by prezydent republiki i premier wręczyli oficjalne zgłoszenie dotyczące członkostwa w UE oraz dążyli do rozpoczęcia negocjacji na ten temat.
- Z dwudniową wizytą oficjalną gościł we Włoszech premier Republiki Litewskiej Adolfas Šleževičius. Premier Litwy został przyjęty przez papieża Jana Pawła II, odbył rozmowę z premierem Włoch Lamberto Dini'm.
- Marszałek Sejmu Česlovas Juršėnas uczestniczył w spotkaniu szefów parlamentów stowarzyszonych państw Unii Europejskiej Europy Środkowej i Wschodniej, które odbyło się w Warszawie.
- Dania oficjalnie zaprosiła Litwę do wspólnego pełnienia misji pokojowej w Bośni w ramach działań batalionu krajów północnych.
- W Jurmale odbyło się dwudniowe spotkanie dowódców sił zbrojnych krajów bałtyckich. Omówiono tworzenie systemu kontroli powietrznej, możliwość stworzenia wspólnej floty morskiej krajów bałtyckich, a także perspektywy współpracy wojskowej Litwy, Łotwy i Estonii na rok 1996.
- Czteroosobowa delegacja parlamentarzystów z Polski w ciągu trzech dni wyżyłowała szkoły polskie na Litwie. Odbyło się także spotkanie z ministrem oświaty i nauki Litwy Vladislavem Domarkasem.
- Polsko-Litewska Izba Gospodarcza w Suwałkach była organizatorem misji handlowej przedsiębiorców polskich na Litwie. W celu nawiązania stosunków gospodarczo-handlowych gościli w republice przedstawiciele 10 firm z różnych branż.
- 4 grudnia rozporządzeniem dyrektora Litewskiego Muzeum Sztuki zostało zabrane pomieszczenie, w którym swą siedzibę miała Fundacja Kultury Polskiej na Litwie im. J. Montwiłła
- Bezrobocie na Litwie nadal wzrasta. W końcu listopada wynosiło 5,9 proc., najbardziej dotknęło wieś litewską (7,1 proc.).
- Według danych Departamentu Statystyki, na 1 października Litwę zamieszkiwało 3715,4 tys. osób. Od początku roku przyszło na świat 31711 noworodków, liczba zgonów wyniosła 32830 osób. Z republiki wyjechało na stałe 2702 mieszkańców, a przybyło 1453.
- Najniższa płaca zarobkowa w październiku wynosiła 40 USD, naliczona średnia płaca — 142,81 dolarów. 44,12 USD wynosiła średnia emerytura.
- 7-8 grudnia w Wilnie odbyło się pierwsze seminarium pracodawców krajów bałtyckich. Omówiono na nim stosunki pracodawców i instytucji państwowych, zagadnienia polityki podatkowej, płacy zarobkowej i inne kwestie.

Opr. B.J.

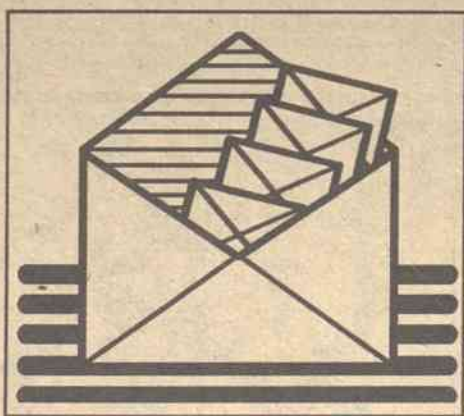


Rys. Lech Abłażej

Wszystkim naszym Czytelnikom i Sympatykom składamy życzenia pogodnych, zdrowych i radosnych Świąt Bożego Narodzenia.

Niech niczym niezmacone szczęście i łaskawa nadzieja towarzyszą nam w Nowym Roku — w naszej jakże trudnej niekiedy codzienności, a powodzenie niech sprzyja spełnieniu zamierzeń wielkich i małych. Oby nie zabrakło nam dobrej woli w dalszym budowaniu mostów międzyludzkich, a Rok 1996 był bogaty w dokonania, niósł uśmiechów ciepły czar.

Zespół "Znad Wilii"



Polska po wyborach

Nawiązując do artykułu o tym tytule ("Z.W." 23/95) chcę sprostować, iż Kwaśniewski nie był ZSMP-owcem, był SZSP-owcem, co jest o tyle ważne, że Socjalistyczny Związek Studentów Polskich nie był młodzieżowym ramieniem partii, tylko "spacyfikowanym" w wyniku różnych przeróbek organizacyjnych Zrzeszeniem Studentów Polskich, do której to nazwy potem wrócił i nosi ją do dziś. Byłem w SZSP, zresztą akurat w tej samej Komisji Kultury Zarządu Głównego co Kwaśniewski, który przyszedł do Warszawy na jej przewodniczącego z Gdańska, jakoś tak w 1979 roku, o ile dobrze pamiętam. Ja, jako szef kultury w Zarządzie Wojewódzkim SZSP w Zielonej Górze automatycznie wchodziłem w skład Komisji Kultury ZG.

Ponadto — "ITD" nie "komunizowało" młodzieży. Było to znakomite pismo studenckie, na którym wychowało się wiele pokoleń studentów (jako pierwsze w kraju zaczęło systematycznie drukować rubrykę "Seksuolog radzi", którą prowadził obecny prof. Lew Starowicz, jako jedno z nielicznych publikowało wówczas akty kobiece etc.), a także redaktorów. Z "ITD" wywodzi się np. Zdzisław Pitrasik ("Polityka") i Krzysztof Mroziwicz ("Polityka" i TV). I wielu innych. Także obecny członek Rady ds. Radia i Telewizji Marek Siwiec — ostatni naczelny (chyba) "ITD". Ze skrajności: wyszła stamtąd Elżbieta Isakiewicz ("Gazeta Polska") i Piotr Gądzinowski ("Nie"). Współpracowałem parę lat z "UTD", publikując tam, a także organizując co roku jedyne i niepowtarzalne warsztaty dziennikarskie pn. "Soczewka". Przybywali najlepsi młodzi dziennikarze studenci z całego kraju.

Eugeniusz Kurzawa
Wilkanowo, Polska

Moje kołchozowe dzieciństwo

Chciałbym nawiązać do artykułu, jednego z wielu o Wileńszczyźnie ("Z.W.", 22/95), które czytam najchętniej. Brakuje w prasie obrazu czasów powojennych, jak je przeżywali Polacy, którzy pozostali na swych ojcowiznach. Dużo jest literatury o syberyjskich zsyłkach, o pierwszych latach repatriantów na Ziemiach Odzyskanych, natomiast o tym, co się działo w Wilnie i pod Wilnem są tylko przekazy słowne. Polacy nawet w listach do bliskich w Polsce bali się napisać prawdy.

Tę lukę wypełniają opowiadania — przekazy, wcześniej zamieszczone w rubryce "Linie życia". Jest w nich humor, nawet trochę ironii, ale też serdeczności do ludzi, którzy są bohaterami tych opowieści! W ostatnim widzę postawę Polaków (a znam ją z opowiadań), ich historie, niekiedy zabawne, a przez to jeszcze bardziej prawdziwe. Ileż takich barwnych postaci przewija się w tamtym życiu rodaków. Myślę, że jest godny sposób zachowania ich w naszej pamięci.

Aleksander Stefankiewicz
Gdynia, Polska

Zajmuję się sztuką, dlatego uważnie czytam Kronikę Polskiej Galerii Artystycznej. Nie spodziewałem się, że PGA zrzesza wokół siebie tylu wspaniałych artystów. Bardzo dobrze by było, gdyby udało się ich prace pokazać w Polsce. Myślę, że zasługują na to. Przy pierwszej okazji pobytu w Wilnie napewno odwiedzę Państwa. Życzę sukcesów.

Robert Socha
Warszawa, Polska

OD REDAKCJI: Serdecznie dziękujemy wszystkim naszym Czytelnikom, Przyjaciółom i Sympatykom, którzy przysłali nam życzenia świąteczne — w bajecznie kolorowych kartkach z różnych krajów, w listach i faksach, telegraficznie i telefonicznie. Pozdrowienia te wydrukujemy w jednym z najbliższych numerów.

Bóg zapłać za dobre słowa!

KRONIKA POLSKIEJ GALERII ARTYSTYCZNEJ

Jarosław Rokicki: Od matematyki do świata barw

15 grudnia dokonano otwarcia kolejnego wernisażu. Jego bohaterem stał się plastyk wileński Jarosław Rokicki. Podstawowa ekspozycja liczy 14 płócien (i jeszcze kilka w innej sali), zaś na jej otwarcie — jak zwykle — przybyli stali bywalcy galerii, nowi jej zwolennicy. Przybyli też przyjaciele artysty, plastycy, wykładowcy szkół plastycznych, krytycy, dziennikarze prasy litewskiej. Jarosław Rokicki wyraził podziękowanie wszystkim przybyłym, jak też tym, którzy zabrali głos. A byli to m.in. prof. Vytautas Norkus, Rimas Bičiūnas, Władimir Niestierenko, Wiktor Szocik, Czesław Połowski.

— Cofnijmy się krótko do dzieciństwa.

— Urodziłem się w Świecianach w 1952 roku. Moja rodzina wywodzi się ze szlachty, do czego nie chciałem przyznawać się w tamtych czasach. Natomiast ojciec zawsze z tego szlachectwa bardzo był dumny. W naszych stronach honor i sprawiedliwość ceniono najbardziej. Kończyłem szkołę rosyjską, bo najbliższa polska była tylko w Podbrodziu. Od dzieciństwa też malowałem, zachęcany przez rodziców i przyjaciół. A zdolności malarskie odziedziczyłem po mamie, która zawsze pięknie rysowała, ma dobry smak artystyczny. Teraz też chętnie powraca do rysowania, oczywiście w sposób amatorski. Pamiętam, jak byłem mały, w naszych okolicach było dużo wczasowiczów z Leningradu. Byli wśród nich i malarze. Pewnego razu dali mi "prawdziwe farby", żebym miał czym malować na tydzień. Spróbowałem, wykorzystując cały materiał... w ciągu dnia. Wszystkim moje obrazki bardzo się spodobały... Coraz bardziej natomiast pasjonowała mnie matematyka i chciałem wypróbować swych sił właśnie w tej dziedzinie.

— Trzeba było więc na coś się zdecydować...

— Górze wzięła matematyka. Dzisiaj wiem, że to wielka sztuka, choć jej językiem są cyfry. Ale z początku ukończyłem Technikum Kolejowe, potem była służba w wojsku, poczym studia matematyczne na Uniwersytecie Wileńskim. Prawda, równolegle udzielałem się w uniwersyteckim kółku malarskim, kierował tym Dereškevičius, potem Linas Jankus, znany plastyk. Moim żywiołem jednakże pozostawała matematyka. Studia ukończyłem z dobrymi wynikami, ale — przeżyłem to bardzo — ku mojemu wielkiemu zaskoczeniu nie zostałem przyjęty do Instytutu Matematyki. A w tej dziedzinie liczą się lata, żeby czegoś dokonać.

— Podobnie jak w szachach.

— Na pewno jest ważna kwestia wieku, czegoś dokonać można do trzydziestki, by nad tym pracować całe życie. Zostawiłem więc matematykę i postanowiłem zająć się malowaniem.

— Zdecydowałeś się pójść do Akademii Sztuk Pięknych?

— Na studia dostałem się w roku 1982. Wybrałem kierunek zaoczny, zacząłem dużo pracować samodzielnie. Studiowałem malarstwo pod kierunkiem prof. Vytautasa Norkusa. Studiując zacząłem mieć możliwość ćwiczyć

szkole malarskiej Šaltenisa, studiu "Paleta" Bičiūnasa i oczywiście w pracowniach Akademii, gdzie zaprzyjaźniłem się z rzeźbiarzami, wśród których rysowałem. Faktycznie miałem trzy lata bardzo intensywnej pracy. Ponadto miałem możliwość wybierania sobie miejsc pracy. To wiele mi dało. Z przyjemnością i wdzięcznością wspominam rady, które uzaskalałem u Rimantasa Bičiūnasa, który choć prowadził "ludowe" studio sztuki, dokąd przychodzili też amatorzy, to utrzymywał poziom bardzo wysoki. Dziś to mogę rzetelnie ocenić z perspektywy czasu i pewnych własnych dokonań. Dlaczego? Otóż Bičiūnas, w odróżnieniu od niektórych innych wykładowców, stawiał na indywidualizm, nie starał się "przełamać" przyszłych adeptów sztuki na swoją modłę, tylko rozwijał walory każdego z malujących.

— Sprawą ambicji dla wielu plastyków jest udział w wystawach. Skromnie pozostawałeś na uboczu, choć prac — tych ciekawych i omawianych — miałeś niemało. Dlaczego?

— Po prostu nie uważałem, że wystawy są miernikiem tego, co robię. Sztuka pochłonięła mnie całkowicie, poświęcałem jej cały swój czas. Materialnie jakoś wytrzymywałem, miałem inne źródła utrzymania. Do tej wystawy, która jest pierwszą, namówili mnie koledzy, a szczególnie mój przyjaciel Wiktor Szocik. Oczywiście, jest w tym racja, że trzeba od czasu do czasu prezentować dla szerszego kręgu to, nad czym się pracuje. Jest to też swego rodzaju ocena pracy, możliwość zestawienia jej z opinią krytyków. Jednocześnie też otrzymałem propozycję zorganizowania kolejnej wystawy. Zaprezentuję na niej również grafikę i jak się mówi żartem "fitimiti" — takie różne różności, z wykorzystaniem techniki mieszanej, coś w rodzaju instalacji. Grafikę mogę przedstawić w tejże galerii, która mi bardzo odpowiada, natomiast na "tamte" prace tu po prostu brakowałoby miejsca.

— Co bliższe — malarstwo czy grafika?

— Zdecydowanie malarstwo.

— A co w nim najważniejsze?

— Kolor. Jak ktoś decyduje się na malarstwo, ma nim operować. Inaczej niech idzie w kierunku grafiki, obierze inne gatunki. Dziś dużo twórców nie docenia ważności koloru, operuje skromnymi środkami. Uważam to za błąd.



Autoportret

— Koledzy nazywają Ciebie "kolorystyką". Dużo barw, śmiało ich zestawienie. W rezultacie powstaje coś, co potrafi zauroczyć.

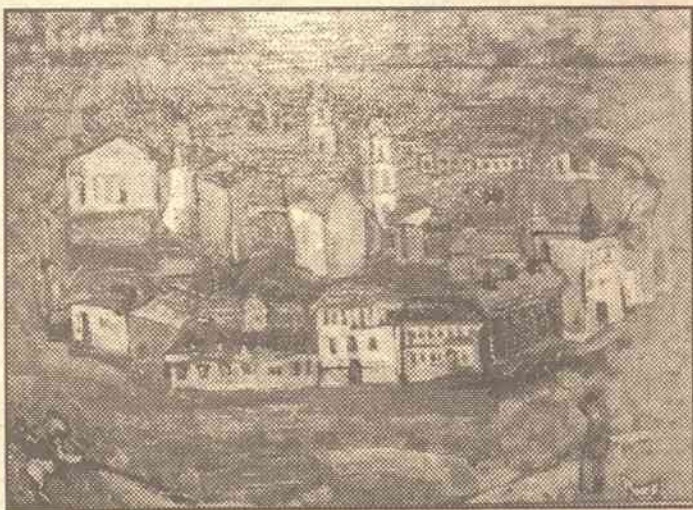
— Uważam, że sztuka powinna przede wszystkim przynosić radość, rozwijać poczucie piękna. Z takimi intencjami zasiadam przy sztalugach, "wypieszczam" swoje barwy w kierunku ciepła, poprzez radosne ich zestawienie. Potem cieszę się z nich i chciałbym, żeby cieszyły one również innych.

— Jakie życzenia sobie złożyłbyś jako twórca na przyszły, 1996 rok?

— Zawsze wstaję z myślami, obym każdego dnia miał możliwość malowania. Przy pałecce czuję się najlepiej. Jest to świat moich wewnętrznych poszukiwań, który bardzo mi bliski. Całe szczęście, że rozumie to rodzina, zaś moim sponsorem, sympatykiem i pierwszym krytykiem bywa niezmiennie żona. Malowanie jest dziś luksusem — trzeba niemało się napracować, żeby zarobić na farby. Biorę więc wszelkie nietypowe zamówienia, wykonuję też reklamy. Ale dzięki temu jest wystawa. Patrząc na wystawione aktualnie prace, wiem, że nadal pozostanę na tej samej drodze. I na ten temat mam kilka nowych pomysłów.

— Życzę powodzenia na tym polu, jak też ciepłych, ciekawych i jeszcze bardziej "kolorowych" prac.

Rozmawiał: Romuald Mieczkowski



Wilno Jarosława Rokickiego, olej, 1995



8 grudnia w Galerii odbyło się spotkanie towarzyskie zorganizowane przez Ambasadę RP dla pracowników kultury, dziennikarzy z Litwy i Polski. W spotkaniu uczestniczył Teatr "Bagatela" z Krakowa. W przyjacielskiej atmosferze była okazja do wymiany informacji na temat życia kulturalnego.

10 grudnia w PGA odbyło się spotkanie dziennikarzy z Polski z członkami Zarządu Towarzystwa Litwa-Polska. Wymieniono opinie na temat aktualnego stanu stosunków wzajemnych między sąsiednimi krajami. Rozmowę skoncentrowano na podstawowych aspektach: polepszeniu stosunków między mniejszościami (polską na Litwie i litewską w Polsce) a władzami w krajach ich zamieszkania, rozwoju współpracy i in.

Stronę litewską reprezentowali: Pranas

KRÓTKO

Morkus, prezes towarzystwa, Vytautas Plečkaitis, poseł na Sejm RL, Gražina Drėmaitė, przewodnicząca Państwowej Komisji Ochrony Zabytków, Algis Kaleda, dziekan wydziału filologii polskiej Uniwersytetu Wileńskiego.

Ze strony polskiej przybyła grupa składająca się z dziennikarzy. Głos zabrał ambasador Polski, prof. Jan Widacki.

10 grudnia miało miejsce kolejne spotkanie członków Klubu Przyjaciół Galerii, na którym były omawiane plany na rok 1996 oraz imprezy świąteczne (m.in. wieczory z kołędami i zabawa sylwestrowa) w PGA. Do Klubu Przyjaciół Galerii zostali przyjęci nowi członkowie, p.Zakariw i Lisa Helling, attache kultury Ambasady USA.

Notatki z konferencji

Od 1988 roku w Travemünde k.Lubeki, w Centrum Pomorzan działa Akademia Bałtycka (Ostsee-Akademie), która stara się badać stosunki pomiędzy państwami szerzej rozumianego regionu nadbałtyckiego. Akademia jest organizatorem konferencji i spotkań z udziałem naukowców, polityków, działaczy społecznych i kulturalnych, którzy rozmawiają tu o sprawach aktualnych i ważnych, starając się przyczynić do integracji narodów.

W dniach 8-10 grudnia odbyła się w Travemünde konferencja, poświęcona mniejszościom narodowym na Litwie w latach 1945-1989, a także perspektywom ich rozwoju prawnego i kulturalnego. W obradach uczestniczyła spora, 11-osobowa (włączając tłumaczy) grupa z Litwy. Prócz Litwinów w jej składzie byli przedstawiciele społeczności polskiej i żydowskiej, znaw-

cy problematyki niemieckiej w Kłajpedzie. Na konferencję przybyły cztery osoby z Polski, jedna — z Rosji, uczestniczyli w niej Niemcy, wychodzący z Litwy.

Konferencja składała się z kilku kompleksów tematycznych — omawiano sytuację polskiej, żydowskiej i niemieckiej mniejszości w pierwszych latach powojennych, ich odrodzenie po roku 1989, przedstawiono wizerunki Niemca, Żyda oraz Polaka we współczesnym społeczeństwie litewskim, poruszono kwestie, dotyczące nazewnictwa (Kłajpeda czy Memel, Vilnius czy Wilno?) oraz inne zagadnienia.

Pozwól sobie zatrzymać się trochę na polskim aspekcie konferencji, który zajął tu poczesne miejsce, naświetlony też był dość wszechstronnie, bo z różnych pozycji i perspektyw. W tej kwestii głos zabierali: dr Mieczysław Jackiewicz, dr Aleksander Srebrakowski, prof. Swietłana Czerwonaja (Moskwa), dr Rimantas Miknys, Vytautas Toleikis, Emanuelis Zingeris, wielu innych.

Z uwagą wysłuchano głosu samych Polaków. Mnie przypadło w udziale wygłoszenie referatu o wizerunku Polaka na Litwie. Żeby go określić, przedstawiłem podstawowe czynniki, pozwalające zachować polskość, zasygnalizowałem różne postawy działania, mówiłem o dzisiejszym stanie posiadania — ponieważ to wszystko właśnie i tworzy wizerunek Polaka; bardzo złożony, bo zależny od wykształcenia, światopoglądu i wielu innych czynników. W rezultacie jest to obraz daleki od stereotypów, wciąż żywotnych i przedstawiający Polaka na Wileńszczyźnie w sposób uproszczony i krzywdzący go (nawiązał do tego celnie w dyskusji Jan Sienkiewicz, przewodniczący Akcji Wy-

borczej Polaków na Litwie).

Oczywiście, wizerunek rodaka związany jest z problemami, jakie ma do rozwiązania ludność polska na Litwie. Wizerunek ten zmienia się w miarę jej wykształcenia, rozwoju kulturalnego, powstawania elit. Zamiast powielać stereotypy (lansowane przez kręgi nam nieprzychylnie, nie-uświadomione a i przez nas samych również), myślę, że musi to być obywatel bez kompleksów, w pełni poczuwający się pełnoprawnym obywatelem Litwy. Świadom historii i tego, co było, ale patrzący w przyszłość. Cudów nie ma — potrzeba nam ludzi światłych, otwartych, konkurencyjnych. Potrzeba nam elit, które będą aktywne w każdej dziedzinie, które pomogą ułożyć godne życie w nowych realiach dla całej mniejszości polskiej. Aby wspólnie budować, trzeba wchodzić nie tylko do swoich, polskich, ale i litewskich struktur — żeby głos polski odzwierciedlał więcej postaw. Uważam, że w naszych wspólnych interesach jest eliminacja sił skrajnych, dialog na odpowiednim poziomie, gdyż o sprawach nawet najbardziej ostrych można mówić spokojnie i przy pomocy argumentów. Z kolei zadaniem inteligencji polskiej jest dopatrzenie, aby nie działała się krzywda jej mniejszości. Nie powinna też ona szukać rozwiązania nabrzmiałych problemów gdzieś poza granicami Litwy, powiedzmy w Warszawie, tylko na miejscu — zgodnie z literą prawa litewskiego i standardami europejskimi (fragment referatu z wnioskami).

Mówiłem też o zachowaniu polskości w kontekście wielokulturowości. O tym, że przenikanie kultur wytwarza fenomeny, dlatego warto przyczynić się do tego, aby Wilno stało się miejscem, gdzie się naucza tolerancji. Możliwe, że wiele międzynarodowych organizacji poparłoby taką inicjatywę, a być może w ten sposób znalazłoby się szybciej środki na działania kulturalne, na odbudowę Starówki itp. O tym, że misją mniejszości jest "ambasadorowanie", co przyczynia się do zbliżenia kultur. Sprawa prosta: przy wielkim upolitycznieniu, częstych zmianach gabinetów, braku środków — najczęściej państwa nie są w stanie efektywnie przybliżać kultury sąsiadów, natomiast przy pewnym mecenacie mniejszości mogą wyręczyć całe ministerstwa. Literaci mogą przekładać szybko książki, przybliżać filmy i sztuki teatralne, organizować wystawy i najprzeróżniejsze imprezy. I to znacznie tańszym kosztem, niż takie przedsięwzięcia zorganizują resorty, przeznaczając mnóstwo środków na usługi różnych "ekspertów".

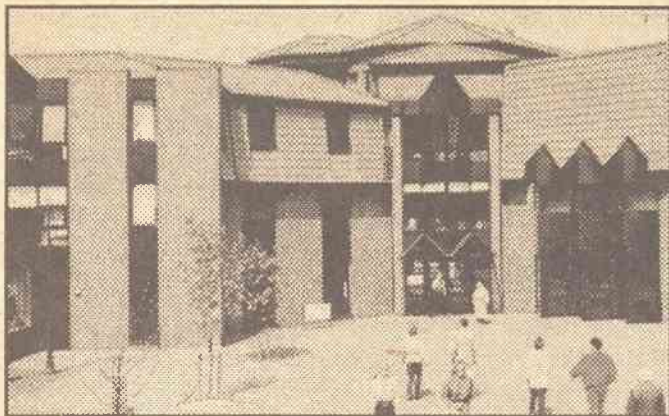
Ktoś w czasie wystąpienia zażartował, iż na konferencji zebrali się ludzie, których nie trzeba "przekonywać" co do potrzeby współpracy i godnego traktowania mniejszości. Rzeczywiście, o



ważnych sprawach na ogół mówiono rzeczowo, życzliwie, ale bez emocjonalnego zaślepienia. Konstruktynie i rozsądnie pod tym względem były referaty Vytautasa Toleikisa i Rimantasa Miknysa (jeśli chodzi o aspekt polski), ciekawe głosy "ze strony", a przede wszystkim niemieckich uczestników konferencji. Zabrakło może tylko białoruskiego i rosyjskiego punktu widzenia (o sytuacji Białorusinów mówiła dr Helena Głogowska z Gdańska), dopełnieniem obrazu mogły być zagadnienia, związane z obecnością Tatarów i Karaimów na Litwie. Ale wszystkiego przecież nie w sposób ogarnąć w tak krótkim terminie, przy tak pracowitym rozkładzie zajęć.

Wiele słów uznania należy się organizatorom imprezy — pracownikom Akademii Bałtyckiej na czele z dr Dietmarem Albrechtem. Żeby impreza przebiegała sprawnie, wiele przyczynił się dr Jörg Hackmann (również pracownik akademii), Sabine Bamberger-Stemann z Instytutu — Nordostdeutsches Kulturwerk w Lüneburgu. Godne odnotowania są warunki, w jakich odbywała się konferencja — zapewniono sprawne przekłady z niemieckiego, litewskiego i polskiego, dobre były też warunki zamieszkania w hotelu Centrum Pomorzan. Pół dnia pozostało na zwiedzenie jednego z najpiękniejszych miast na północy Niemiec — Lubeki. Parę dni przed konferencją, parę po niej przeznaczyłem dla siebie. Dzięki temu poznałem lepiej Hamburg, miałem okazję zobaczyć Oltenburg i przede wszystkim dotrzeć do Przykioł w Kilonii.

Romuald Mieczkowski



Centrum Pomorzan (Pommern-Zentrum) w Travemünde



Na sali obrad

Fot. Archiwum

ŻYJEMY OBOK SIEBIE I DLA SIEBIE

Rozmowa z Jörgiem Hackmannem

— Na wstępie prosiłbym o wizytówkę Pańskiej działalności.

— Jestem na stanowisku docenta w Akademii Bałtyckiej. Prowadzę spotkania i seminaria. Z zawodu — historyk, interesuje mnie zagadnienie stosunków polsko-niemieckich, jak też problematyka krajów nadbałtyckich.

— Pomaga w tym znajomość języków.

— Znam polski, trochę rosyjski. Mieszkańcy krajów nadbałtyckich względnie dobrze znają niemiecki, bądź angielski.

— Kiedy powstała Akademia Bałtycka i jakie cele przyświecają jej działalności?

— Placówka założona została w 1988 roku. Jej głównym celem jest prowadzenie dialogu, szukania pojednania i współpracy pomiędzy Niemcami i innymi krajami Europy Wschodniej. Próbowujemy patrzeć na te sprawy w szerszym kontekście, stąd dialog z przedstawicielami różnych krajów regionu — poczynając od Skandynawii a kończąc na Rosji.

— Akademia jest organizatorem wielu konferencji, sympozjów — czy jest to jej charakterystyczna forma pracy?

— Takie spotkania pozwalają wymieniać w dyskusjach opinie. I to dla nas ważne. Oczywiście, spotkania organizujemy nie tylko tu, odbywają się one w Polsce, na Litwie. Organizujemy też imprezy wyjazdowe dla Niemców do różnych krajów, aby się przekonali na własne oczy, jak odbywają się tam przemiany.

— Akademia rozlokowana jest w Centrum Pomorzan, ośrodku dysponującym dobrą bazą hotelową, żywieniową, zapleczem do prowadzenia działalności klubowej. Jest nawet piękny nowoczesny kościół.

— Tu wszystko jest podporządkowane dzia-

łalności Akademii. Inicjatywa powołania tej placówki powstała w kręgu ludzi, którzy zostali wysiedleni, a jak teraz mówi się, wypędzeni, z różnych miejscowości Pomorza. Już w latach 70. mieli oni pomysł wybudowania takiego ośrodka, na pamiątkę pogodzenia się z losem, przyjmując zasadę, że nie trzeba walczyć o powrót tych Ziemi do Niemiec, tylko szukać prawdziwego porozumienia z Polakami.

— Z jednej strony przywołuje to pamięć o bardzo bolesnej kartce historii, z drugiej natomiast — pozwala budować więzy współpracy dla współczesnych.

— Tysiące ludzi musiało przecież po wojnie zostawić swe strony ojczyste i zaczynać życie od nowa. To doświadczenie dotyczy różnych narodów, to jest właściwie los w dużym stopniu tej części Europy. Możemy też rozmawiać, jak ludzie z Polski odczuwają podobną sytuację — przede wszystkim po to, by na doświadczeniu historycznym uczyć się i wyciągać wnioski. Dlatego chcemy właśnie w tym miejscu prowadzić dialogi.

— Dobrze, że pozwala to robić odpowiednie zaplecze materialne, na co jako ludzie ze Wschodu zwracamy uwagę, gdyż w naszej sytuacji trudno znaleźć środki na tego typu działania.

— Dziękujemy Bogu, że ten ośrodek powstał przed zjednoczeniem Niemiec. Później już by takiej szansy nie było. Niemcy z pewnością pozostają bogatym krajem, ale wchłonięcie NRD dużo kosztuje nadal. Środki częściowo otrzymujemy od władz landowych z Kilonii, a częściowo od rządu federalnego w Bonn. Program, który zakłada ułożenie jak najlepszych stosunków z sąsiadami, którzy budują

demokratyczne społeczeństwa, musi mieć zrozumienie.

— Nad czym obecnie skupiają swą uwagę pracownicy Akademii?

— Kończymy dopracowywać program imprez na rok przyszły. W roku 1996 planujemy dużą konferencję na temat przyszłości obwodu kaliningradzkiego. W tym przypadku nie ograniczymy się do dialogu niemiecko-rosyjskiego, ale zaprosimy również Polaków, Litwinów, przedstawicieli Finlandii i Danii. Będziemy omawiać problemy związane z regionalizacją w kontekście Morza Bałtyckiego, to znaczy w aspekcie demilitaryzacji, ekologii i innych zagadnień dla Basenu Morza Bałtyckiego.

— Ma Pan doświadczenie w prowadzeniu takich imprez. Jak ocenia ostatnią konferencję poświęconą mniejszościom narodowym na Litwie?

— To były bardzo rzeczowe rozmowy, o spokojnym tonie. A mówiono przecież o sprawach bardzo istotnych. Myślę, że gdybyśmy dyskutowali np. o problemach mniejszości w Estonii, byłoby to znacznie trudniej. Wachlarz przedstawianych problemów pozwala szukać dróg ich rozwiązania — w edukacji, działalności kulturalnej. Pamiętamy jednak, jak rząd pruski w XIX wieku próbował germanizować Duńczyków na tych terenach i co z tego wyszło. Po pierwszej wojnie światowej zmieniły się granice. Potem życie wykazało, że można swe stosunki ułożyć inaczej, w duchu poszanowania potrzeb innych. Dziś sytuacja polityczna u nas jest jasna. Współpracujemy razem w strukturach europejskich, być może do nich wejdą nowe kraje, co powiększy również bezpieczeństwo w regionie. Dziś wiadomo, że granice między kra-



OSTSEE-AKADEMIE

jami są nienaruszalne. Po prostu żyjemy obok siebie i dla siebie. Tak powinno być.

— Dziękuję za rozmowę.

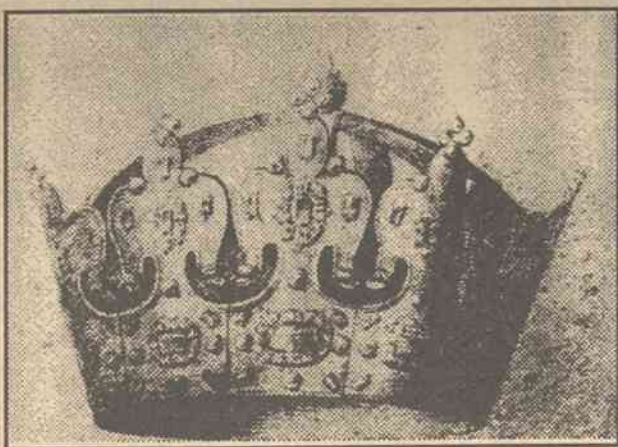
— A ja życzę wszystkim Czytelnikom do-brych Świąt Bożego Narodzenia i Szczęśliwego Nowego Roku.

Rozmawiał: R.M.

Jörg Hackmann, docent Akademii Bałtyckiej (Ostsee-Akademie) w Lubce-Travemünde, jest jednym z inicjatorów tworzenia stabilnych fundamentów do porozumienia i współpracy między narodami Basenu Morza Bałtyckiego.

Autor publikacji naukowych, członek zespołu redakcyjnego pracy "Szczecin 1945-1946. Dokumenty-Wspomnienia" (Hinstorff, 1955). Jest to książka, wydana po polsku i niemiecku, zawierająca świadectwa różnych ludzi, dokumenty różnych władz o trudnym, przełomowym okresie z życia miasta.

Swoją drogą, zapewne z wielkim zainteresowaniem cieszyłoby się wspólnie opracowane przez Polaków, Litwinów, z wykorzystaniem dokumentów radzieckich, niemieckich, wydanie, dotyczące tak kontrowersyjnego przecież tego samego powojennego okresu dla Wilna.



Zniszczona przez Prusaków Korona Bolesława Chrobrego. Ry-sunek Bacciarellego. Muzeum Czartoryskich, Kraków.

Już od Starożytności cesarze, królowie i wodzowie podkreślali swoją władzę i wyjątkowość swojej pozycji w społeczeństwie za pomocą symboli, których nikomu innemu nie wolno było nosić ani używać. Czasami były to ozdobne hełmy, cenne diademy, pióra czy też wieńce laurowe. Istniało wiele oznak władzy monarszej, ale dopiero chrześcijańskie Średniowiecze wprowadziło na stałe do naszej świadomości coś co nazywamy regalia lub po prostu: koroną, berłem, jabłkiem królewskim i mieczem koronacyjnym. Większość europejskich monarchii posiadała swoje regalia (nigdy nie miały ich jednak: Belgia, Bułgaria, Luksemburg i Monako); niektóre, jak np. papieska tiara, wyróżniały się w sposób szczególny spośród wszystkich innych. Obecnie posiada swe regalia tylko kilkanaście krajów i są one najczęściej traktowane jak największe świętości narodowe, a ich wizerunki widnieją dosłownie wszędzie: na znaczkach pocztowych, herbach, monetach, pieczęciach czy nawet T-shirtach i reklamach. Są z dumą ekspozowane, a z podziwem oglądane przez kolejne pokolenia. Z zazdrością natomiast przez obywateli krajów, którym historia poskąpiła lub wręcz odebrała ich własne insygnia władzy królewskiej.

Kiedys i my posiadaliśmy swoje wspaniałe regalia narodowe. Dzisiaj na Wawelu pozostał po nich — prócz koron wydobytych z grobowców królów polskich (mających jednak jedynie charakter funeralny) oraz korony "polowej" Kazimierza Wielkiego (znalezionej przed Wielką Wojną koło Sandomierza) — tylko Szczербiec, który cudem ocalał z niszczycielskich rąk Prusaków, zakupiony w 1886 r. na aukcji w Paryżu przez rząd carski, obsesyjnie wręcz pragnący zdobyć polskie regalia. W 1924 r. powrócił na Wawel, by w kilkanaście lat później odbyć ponownie wojenną tułaczkę po świecie przed swym kolejnym powrotem do siedziby królów polskich. Dzieje polskiej korony okazały się nie mniej dramatyczne. Niestety, zakończone zostały tragicznym finałem. Potworny akt barbarzyństwa dokonany w 1838 r. w Królewcu przerwał ponad 500-letnie istnienie narodowej korony polskiej.

Po raz pierwszy o koronie królów polskich słyszymy przy okazji zjazdu w Gnieźnie w roku 1000, kiedy to cesarz Otton III wkłada na głowę Bolesława Chrobrego przywiezioną przez siebie koronę, zwaną odtąd "koroną Chrobrego". Podczas wojny z Niemcami i wewnętrznych zamieszek za panowania Mieszka II, jego żona Rycheza wywozi polskie regalia do Niemiec. Na koronację Bolesława Śmiałego w 1076 r. sprawiono więc nową koronę, którą odtąd przechowywano w skarbcu wawelskim. Następnym królem, który włożył ją na swoją głowę, był Przemysław II. Stało się to podczas koronacji króla w Gnieźnie w 1295 r. Koronę przywieziono na tę okazję ze skarbcza na Wawelu. W czasie wojny o zjednoczenie Polski korona ginie ponownie i na koronację Władysława Łokietka w 1320 r. trzeba było sprawić nowe regalia, którymi odtąd koronowani są praktycznie biorąc

Z historii insygniów polskich

PIERWSZA BYŁA KORONA CHROBREGO

Z Danii — Mariusz Paździora

wszyscy polscy królowie aż do upadku I Rzeczypospolitej. Po swej koronacji w Krakowie w 1370 r. Ludwik Węgierski wywozi polskie insygnia na Węgry, gdzie pozostają — pomimo protestów metropolity gnieźnieńskiego przez najbliższe 42 lata.

Władysław Jagiełło zmuszony jest sprawić sobie nową koronę na swą koronację w 1386 r. Dopiero po osiągnięciu porozumienia z królem Węgier — Zygmuntem, polskie regalia wracają w 1412 r. do Krakowa, przyjmowane z największą pompą w dniu Wniebowzięcia NMP. Zostały wtedy wystawione na widok publiczny w kościele Mariackim, by następnie powrócić na Wawel.

Podczas inwentaryzacji skarbcza katedralnego na Wawelu, dokonanej po śmierci Stefana Batorego w 1587 r., określono polską koronę narodową jako *złotą koronę Bolesława Chrobrego* — w odróżnieniu od wcześniejszych dokumentów inwentaryzacyjnych, opisujących ją jedynie jako *"Corona Regni Poloniae"*. Ostatni przegląd polskich regaliów dokonany w 1792 r. określa tę samą koronę jako *Originalis sive Privilegiata* i dodaje, że została ofiarowana przez cesarza Ottona III Bolesławowi Chrobremu (faktycznie była to jednak korona Łokietka z 1320 r.). Wymienia też, że korona ozdobiona była 474 rubinami, szafirami, szmaragdami i perłami. Wykonano ją wg wzorców francuskich w formie złotej obręczy z 9 lub 10 liliami.

Polskie insygnia koronacyjne spoczywały spokojnie na Wawelu aż do roku 1697, kiedy to popiecznicy księcia Conti — jednego z 18 kandydatów do polskiego tronu — próbując zapobiec koronacji elektora saskiego, późniejszego Augusta II, na króla polskiego, włamali się do skarbcza katedralnego i uwieźli ze sobą polskie regalia do Lubowli, gdzie zostały ukryte. August II zamówił więc nowe insygnia na swoją koronację. Podobnie uczynił August III, który dla siebie i swej żony Marii Józefy zamówił w 1734 r. nowe regalia ozdobione diamentami wypożyczonymi ze skarbcza Saksonii.

Corona Regni Poloniae zwrócona została na Wawel jeszcze podczas panowania Augusta III. Po raz ostatni użyto jej w 1764 r. w czasie koronacji Stanisława Augusta w Warszawie. W III rozbiorze, zanim Austriacy zajęli Kraków, nieobliczalnej wartości skarbiec katedralny na Wawelu obrabowany został przez Prusaków. Polskie regalia wywiezione zostały do Wrocławia, a stamtąd w 1811 r. do Królewca, gdzie na rozkaz króla pruskiego Fryderyka Wilhelma III zostały w wielkiej tajemnicy zniszczone. Złoto z korony zostało użyte do celów menniczych, zaś szlachetnymi kamieniami król pruski podreperował swoje podupadłe w czasie wojen napoleońskich finanse. Dokumenty pruskie sankcjonujące ten niesłychany akt wandalizmu noszą datę 1838.

Norwegia podzielona we wczesnym Średniowieczu na szereg drobnych państewek, których wojowniczy przywódcy docierali do tak odległych zakątków jak Grenlandia czy Irlandia, zjednoczyła się na krótko w 872 r. pod wodzą Haralda I. Dopiero wprowadzenie chrześcijaństwa i rządy Olafa II doprowadziły do trwałego zjednoczenia kraju (po 1015 r.). Dalej jak z Polską i Litwą — król norweski Haakon VI poślubia królową duńską Małgorzatę I, a ich syn Olaf IV od 1380 r. dziedziczy Norwegię i Danię, które odtąd aż do roku 1814 stanowią jedną całość. Unia duńsko-norweska kończy się na Kongresie Wiedeńskim, który karze Danię za jej poparcie dla Napoleona przyłączeniem Nor-

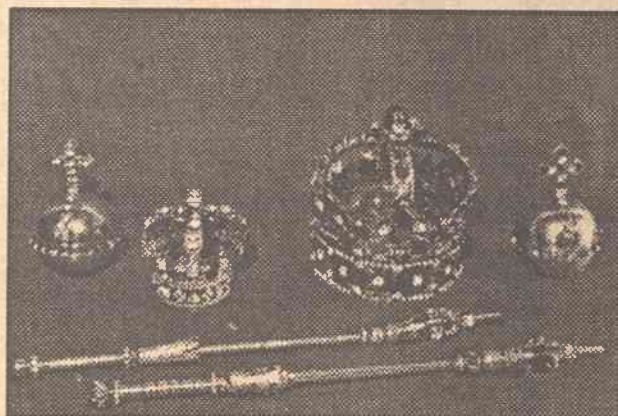
wegii do Szwecji. Ta wielce niepopularna w Norwegii unia trwała do roku 1905, kiedy to Norwegia ogłosiła niepodległość i na swój tron poprosiła duńskiego oczywiście księcia, brata przyszłego króla Danii Chrystiana X, który panował jako Haakon VII.

Sama praktyka koronacji królów przywędrowała do Norwegii z kontynentu dopiero w 1163 r., kiedy król Magnus V otrzymał z Rzymu prawo do koronacji. Do naszych czasów nie zachowały się jednak żadne średniowieczne instrumenty koronacji królów norweskich. Prawdopodobnie zatoneły one u wybrzeży Norwegii wraz z jednym z dwu statków biskupa Trondheim, który po ogłoszeniu Reformacji w 1530 r. załadował nań cały skarbiec Królestwa Norwegii, udając się na wygnanie do Niderlandów. Sam biskup dopłynął szczęśliwie do celu swej podróży, ale bez większej "gotówki".

W Trondheim znajduje się katedra koronacyjna Nidaros, która w Średniowieczu była miejscem wielu koronacji i do dziś pozostała kościołem koronacyjnym królów norweskich. W okresie unii z Danią (1380-1814) praktycznie nie było odrębnych koronacji norweskich, a wspólni królowie koronowali się z reguły tylko w Danii duńskimi regaliaми. Sytuacja uległa zmianie po przymusowej unii ze Szwecją w 1814 r. Król szwedzki Karol XIII był stary i zbyt chory, by wypełnić postanowienia konstytucji norweskiej dotyczące koronacji w Trondheim. Dopiero Karol XIV w 1818 r. poinformował posłów norweskich w Sztokholmie, iż zamierza wypełnić swe konstytucyjne obowiązki i uda się na koronację do Trondheim. Pierwsza od 335 lat koronacja była dla pogrążonej w depresji ekonomicznej Norwegii wielkim wydarzeniem. Ja-

ko że nie istniały żadne odrębne norweskie regalia, a kraj był zbyt biedny, żeby je zafundować swojemu nowemu królowi, Karol XIV postanowił opłacić wykonanie norweskich insygniów z własnej kieszeni. Koronę, jak i pozostałe regalia, wykonał w Sztokholmie złotnik E.A.Zethelius w 1818 r. (jedynie korona królowej została wykonana dopiero w 1830 r.). Jak więc widać, należą norweskie regalia do "młodszych" spośród innych europejskich insygniów koronacyjnych. Korona norweska wykonana jest ze złota i ozdobiona perłami oraz szlachetnymi i półszlachetnymi kamieniami, z których największym (wys. 6,3 cm) jest wspaniały zielony turmalin ofiarowany ponoć Karolowi XIV przez konsula Brazylii w Sztokholmie. Inne kamienie w koronie to: ametysty, topazy, aleksandryty, chryzoprazy. Sama korona waży, bagatela 1,5 kg. Na głowie królowej spoczął mniejszy ciężar, tylko 534 gramy.

Haakon VII i królowa Maud byli ostatnimi monarchami koronowanymi norweskimi regaliaми (1906 r.). W dwa lata później konstytucja norweska zastąpiła koronację uroczystą przysięgą królewską składaną w katedrze koronacyjnej w Trondheim. Regalia są jednakże w czasie tej uroczystości wyłożone uroczystość na ołtarzu przed królem. Norweskie regalia przechowywane w różnych miejscach, a ostatnio w Banku Norweskim, były niedostępne szerszej publiczności. Wojnę i okupację niemiecką przetrwały spokojnie w skarbcu Banku Norweskiego, podczas gdy ich właściciel musiał się salwować ucieczką do Anglii. Dopiero od 1988 r. zaczęły cieszyć oczy zwiedzających, wystawione na widok publiczny w skarbcu katedry koronacyjnej Nidaros w Trondheim.



Regalia Augusta III i jego żony Marii Józefy. Zamek Królewski, Warszawa. Regalia te zostały wykonane w 1734 r. w Dreźnie. Wykonano je ze złota i ozdobiono licznymi diamentami wypożyczonymi ze skarbcza w Saksonii. Po śmierci Augusta III (1763) regalia zostały wywiezione do Dreźnie, gdzie znajdowały się do abdykacji ostatniego króla Saksonii (1918), kiedy to wystawiono je na sprzedaż. W 1925 r. zakupił je Rząd Polski. Regalia przechowywano na Zamku Królewskim w Warszawie do 1939 r., kiedy to wpadły w ręce niemieckie. Znalezione przez Rosjan w 1945 r. w Niemczech, wywiezione zostały następnie do ZSRR. W 1969 r. zwrócono je Polsce

Powrót świątyni

Odnowiono kościół ewangelików w Wilnie

Po 55 latach w całym swym pięknie powrócił do wiernych kościół ewangelików luteranów w Wilnie. W ciągu ostatniego półwiecza różnych miał gospodarzy, m.in. mieściła się tu pracownia restauracji zabytków, która w dużym stopniu przyczyniła się do... zniszczenia tego obiektu.

Historia budowy świątyni sięga roku 1662. Po pożarze w Wilnie w 1737 roku wspólnota ewangelików luteranów powołała architekta Jana Krzysztofa Głäubitza na restauratora budynku, który przystąpił do pracy, ujawniając swoje zdolności i talent. W latach 1741-42 w świątyni zainstalował bogaty barokowy ołtarz, a i całemu wnętrzu nadał cechy późnego baroku. Dzięki temu zyskał sławę i po kolejnym, dużym pożarze w 1748 roku był zapraszany do pracy przy wielu obiektach — przy kościele Św.Jana, Św.Katarzyny, cerkwi Św.Ducha, wznosił Bramę Bazyliąńską. Znany konserwator zabytków, wykładowca USB Stanisław Lorentz opisał działalność sławnego budowniczego w książce "Jan Krzysztof Głäubitz, architekt wileński XVIII wieku" (Warszawa, 1937).

W 1989 roku postanowiono odnowić zniszczone wnętrza kościoła. Restauratorom z pomocą przyszły... zdjęcia Jerzego Hoppena, znajdujące się w funduszach Muzeum Narodowego w Warszawie. Malarz, grafik, profesor Wydziału Sztuk Pięknych USB Jerzy Hoppen na blonie fotograficznej utrwalił wiele elementów wnętrza świątyni.

Odbudowa kościoła kosztowała 400 tysięcy marek niemieckich, połowę sumy wyasygnował rząd Litwy. Parafia liczy 600 osób.

Pastorem wileńskiej gminy luteranowskiej została (po raz pierwszy na Litwie) kobieta — Tamara Schmidt, która pracuje głównie w Niemczech — wśród wychodźstwa litewskiego, w sumie w 6 parafiach. W Wilnie spędza mniej więcej tydzień na miesiąc.

Będziemy czekali powrotu następnych świątyni, przy których pracował mistrz wileńskiego baroku J.K.Głäubitz, a wśród nich kościoła katolickiego Św.Katarzyny.

Andrzej Pukszt

Place Wilna

Plac Łukiski

Plac Łukiski jest również bardzo stary. Od 1904 roku odbywały się tu Jarmarki Kaziukowe, po śmierci Marszałka Józefa Piłsudskiego plac nazwano jego imieniem, po wojnie przez długie lata nosił imię Lenina. Na jego środku postawiono pomnik wodza rewolucji. Dziś plac znowu nazywa się Łukiski. Przed stu laty wyglądał następująco:

Ulica Święto-Jerska (dziś Giedymina — M.J.) wychodzi na obszerny Plac Łukiski, w końcu którego na prawo widać kościół św. Jakuba, a przy nim szpital. W tym to szpitalu spędził ostatnie dni życia Zygmunt Sierakowski, ranny w potyczce na wylot w piersi i stąd poszedł na śmierć jeszcze nie wyleczony z rany, ponieważ Murawjew obawiał się, iż może nadejść z Petersburga utaskawienie, o które robiono usilne starania i dlatego egzekucję przyspieszył.

Nieco dalej za kościołem znajduje się więzienie, które w 1863 roku było przepiękne, a w którym niedawnymi czasami były zamknięte ofiary krojańskiej sprawy, stawione w Wilnie przed sądem za to, iż opierały się kacykowi Klingenbergowi i jego Kozakom przy zamknięciu kościoła, mając za broń jedynie krzyż, portrety cara i carycy, którymi biedacy osłaniali się przed nahlajami i pałaszami Kozaków i policji. Sąd nad nimi był istną komedią i chociaż obrony oskarżonych podjęli się bezinteresownie najwybitniejsi adwokaci rosyjscy, niewiele mogli wskórać, ponieważ zabroniono mówić na sądzie o zachowaniu się Klingenberga i Kozaków.



Któż w Wilnie (a i poza Wilnem) nie zna więzienia na Łukiszkach. Zawsze ono było przepełnione niewinnymi ludźmi, a najwięcej umęczonych było w okresie wojny i od razu po niej, kiedy na Łukiszkach siedzieli Polacy, Litwini, Żydzi i nawet uczciwi Rosjanie.

Z lewej strony placu, idąc w kierunku Wilii, wznosi się okazały, niedawno wybudowany gmach sądu okręgowego.

Budynek ten szczególnie znany jest wilnianom, ponieważ w okresie okupacji niemieckiej w tym budynku mieściło się gestapo, a w okresie sowieckim — osławiony KGB. W miejscu, gdzie róg tego gmachu zwrócony ku Łukiszkom — pisze WLFZ — w 1863 r. wykonywano wyroki śmierci nad Polakami. Tu rozstrzelano 22 maja 1863 r. księdza Stanisława Iszory, a 24 maja księdza Ziemackiego i młodego szlachcica Laszkowicza.

Tu wzniesiono szubienicę, na której powieszono chorego i nie wyleczonego z ran Zygmunta Sierakowskiego, który wobec ludu protestował przeciwko powieszeniu i domagał się rozstrzelania, do czego jako wojskowy miał prawo. Na tym miejscu zostali również straceni sztyltnicy bracia Rewkowscy, Tomaszewicz, Jabłoński i Sapowicz, zdradzeni przez Miroszkina, a 28 sierpnia Bieńkowski, który usiłował zabić marszałka Domeykę, oraz Czapliński i Marczewski. Bieńkowskiego i Marczewskiego wieszono na miejsce egzekucji na szafocie plecami do koni ze skępowanymi rękami, zaś Czaplińskiego — w dorożce, ponieważ był w omdleniu.



Gmach Sądu Okręgowego z pocztówki sprzed stu laty

KRONIKA POLSKIEJ GALERII ARTYSTYCZNEJ

Na Świętego Mikołaja — Cudowny Dzień Roku!

Nasza galeria przy skromnym udziale Członków Klubu PPG w Wilnie 6 grudnia zaprosiła w swoje progi 18 polskich sierot z Domu Opieki Nr 3, żeby w atmosferze rodzinnego ciepła, jakie tu panuje, mogły one przeżyć ten uroczy dzień i wieczór.

Na przyjęcie dzieci czekała w galerii piękna choinka, mnóstwo atrakcji i prezenty, które miały otrzymać od Świętego Mikołaja.

Dzieci zjawily się wraz ze swoimi opiekunami, na początku ztremowane, jednak po niedługiej chwili z zainteresowaniem zaczęły oglądać i komentować pomiędzy sobą obrazy. Serdeczność, którą zostały otoczone przez znajdujące się w galerii osoby, rozproszyła ich niepewność.

Na początku odbył się koncert. Wystąpiły dwie harfistki Aneta Milewska i Vitalija Jakaitytė, które kształcą się pod kierownictwem Galiny Jakaitienė. Następnie dziewczynki ze szkoły im. Jana Pawła II, gdzie działa od niedawna zespół tańca nowoczesnego (kier. Diana Gudavičiūtė i Rasa Alksnytė), miały swój debiut. Do występu przyczyniła się Irena Stankiewicz, prezesa tego zespołu od komitetu rodzicielskiego. Dalej dwie Mieczkowskie — Magda i Monika zaśpiewały zgodnie piosenki przy akompaniamencie na pianinie Marty Radziuk.

Następnie po zjedzeniu obiadku, słodczy i owoców, zostały zaproszone przez plastyczkę Dominikę Jachimowicz do konkursu malarskiego pt.: "Moje wrażenia z Galerii". Dzieci z zain-

teresowaniem układały arkusze papieru na podłodze, otrzymane farby i pędzle do malowania, by po chwili przystąpić do dzieła. Malowanie trwało ponad godzinę. Dzieci spisały się na przysłowiową polską "piątkę". Dwie pierwsze nagrody otrzymały Kasia i Natalia. Ich wspólna praca przedstawiała "Świąteczny stół" i była tematycznie związana z proponowanym tematem. Dwie pierwsze nagrody, to piękne wydania baśni Andersena i Braci Grimm. Pozostałe za udział w konkursie również zostały obdarowane książeczkami. Radość była wielka.

Aż wreszcie przyszedł z dużymi pakunkami Święty Mikołaj i każde dziecko imiennie otrzymało swój prezent. Były tam bluzeczki z dzianiny, zegarki, zabawki, słodczy i owoce. Najmniejsze dostały na dodatek przytulanki — piękne Misie!

Było dużo radości, uśmiechów, rozmów i zaproszeń do odwiedzenia ich w Domu Dziecka.

Zaproszenie zostało przyjęte!

Polska Galeria Artystyczna dziękuje sponsorom, którzy przyczynili się do zasobności prezentów Św. Mikołaja: Ambasadzie i Konsulatu w Generalnemu RP w Wilnie, firmom — "ENERVIL", "Juliandra", "Optimus S.A.", "KLION", kawiarni "Alina", Przedstawicielstwu m.Łodzi w Wilnie, księgarni Stanisława Koryńskiego.

Alicja Żukowska — Klub PPG

Wilno sprzed stu laty

Mieczysław Jackiewicz

(10)

W grudniu 1863 r. jednego dnia zostali powieszni Zdanowicz i Dorminowski, zaś na początku stycznia 1864 r. Tytus Dalewski, wszyscy trzej członkowie organizacji Rządu Narodowego. Młodziutki Zdanowicz zarządzał częścią gospodarczą i finansową, Dormonowski był gubernatorem Wilna, a Dalewski adiutantem Kalinowskiego. Zdanowicz został wzięty we własnym domu na Zarzeczu z prawej strony rynku (dziś na tym miejscu jest mały skwerek — M.J.). Już rewizja w całym domu dokonana nic nie wykryła, a żandarmi i policja wychodzili, gdy jeden z nich zwrócił uwagę na okno wychodzące na Wilenkę, a którego sobie w dopiero co oglądanym mieszkaniu nie przypominał. Udano się na strych i tu za złożonym sianem znaleziono ukryte w ścianie drzwi, a za nimi niewielki pokój, w którym był obecny Zdanowicz i gdzie znaleziono pieczęcie, blankiety Rządu Narodowego i odezwy. Bardziej kompromitujące papiery Zdanowicz zdołał zniszczyć.

Długo i napróżno szukano Kalinowskiego, o którym wiedzieli Moskale, że jest w Wilnie, aż go wydał należący do partii zdrajca Polak, okupując tą niecną zdradą własne życie i wolność. Zdrajca ten zawiadomił, że Kalinowski mieszka w Wilnie w murach świętojańskich pod przybranym nazwiskiem Witolda Witozęca. W nocy otoczono rzeczony mury wojskiem i wzięto Kalinowskiego, który słysząc szmer wyszedł ze świecą na schody i zapytany o nazwisko, nazwał się Witozęcem. Dwa miesiące spędził Kalinowski w więzieniu i pomimo, iż codziennie był badany i męczony w komisji śledczej, pomimo że nie dawano mu spać i co chwilę budzono w nadziei, że nawpół przytomny ze snu, zdradzi się, dzielny ten człowiek nic nie powiedział i nikogo nie wydał. 10 marca 1864 r. w jasny i zimny poranek powieszono Kalinowskiego na Placu Łukiskim. Ten bohater szedł na śmierć z pogodnym czołem i stanąwszy pod szubienicą pożegnał tłumy płaczącego ludu. Gdy czytano wyrok i nazwano Kalinowskiego szlachcicem, ten przerwał czytanie słowami: "U nas nie ma szlachty, wszyscyśmy równi!" i ze słowami "Niech żyje Polska!" oddał się w ręce kata. Moskale zwykli wykonywać wyrok śmierci w dniu, kiedy lud okoliczny zjeżdżał

się na Rynek Łukiski, pragnąc w ten sposób zastraszyć i terroryzować włościan, ale mylili się w rachubie, ponieważ zebrany licznie lud wyrażał swe współczucie traconym, płakał i zdejmował czapki. Liczna publiczność gromadziła się na przyległych wzgórzach, ponieważ każdy poczytał sobie za święty obowiązek być obecnym przy egzekucji, aby skazany nie czuł się samotnym, to też matki nasze, choć młdały, ale do ostatniej chwili wytrzymały na stanowisku.

Ciała męczenników wrzucano do dołu wykopanego około szubienicy, skąd w nocy przenoszono je na góry — Zamkową i Trzykrzyską i tam w obecności oficera żandarmskiego grzebano.

Po straceniu księdza Iszory żołnierze proponowali rodzicom tegoż, że przeniosą zwłoki ich syna na cmentarz, za co żądali znacznej sumy pieniężnej. Atoli ostrzeżeni rodzice odrzucili propozycję, słusznie obawiając się zdrady Murawjewa. Na cmentarzu Bernardyńskim istnieje jednak pomnik Zdanowicza, na którym wyryty rzewny wiersz.

W czasach radzieckich w pobliżu kościoła św. Jakuba była płyta pamiątkowa, która głosiła iż rzekomo w tym miejscu nastąpiła śmierć Kalinowskiego i innych powstańców. Nawet w czasach późniejszych fałszowano prawdę. Ale to można było zrozumieć, ponieważ jakże mogli ukazać prawdziwe miejsce śmierci powstańców przy gmachu KGB? Dziś historycy powinni odnaleźć prawdziwe miejsce kaźni Kalinowskiego, Sierakowskiego, Iszory i innych, by upamiętnić to miejsce. Może dokonają tego wileńscy Polacy?

(Cdn.)

Autor ukryty pod tajemniczym kryptonimem W.L.F.Z. w "Noworoczniku Litewskim na rok 1904" podaje wiele nieznanych w przewodnikach wileńskich, a interesujących faktów z historii miasta końca XIX wieku. Uważę Czytelników proponujemy niektóre fragmenty dokumentu.



Migawki z imprezy; na harfie gra Vitalija Jakaitytė; śpiewają dziewczęta z Domu Dziecka
Fot. Marian Paluszkiwicz

ZNAD WILII
1995.12.15-31

5

W kręgu wilnian

— Rozmawiamy, jak "wilnianin z wilnianinem". Z tym, że ja mam miasto nad Wilią na co dzień, Pan przybył po latach i ze Szwajcarii.

— Urodziłem się 1 stycznia 1927 roku w Wilnie. Tu chodziłem do Szkoły Jezuitów przy ul. Wielkiej 52. Gimnazjum ukończyłem w innym miejscu, tak chciały czasy wojenne. Mieszkaliśmy w wielu miejscach — przy ul. Senatorskiej i dom nasz już nie istnieje, przez krótki czas przy ul. Bonifratskiej, niedaleko Placu Katedralnego. Najdłużej, do 1940, rodzina mieszkała przy Al. Mickiewicza 1. Tuż obok cukierni Rudnickiego (miała ona numerację Placu Katedralnego). Z balkonu naszego mieszkania byłem świadkiem ciekawych wydarzeń: jako małe dziecko widziałem powódź, kiedy cały plac przy Katedrze był zalany wodą. Pamiętam też nieźle pogrzeb Serca Marszałka Piłsudskiego — przez Aleję od Placu Katedralnego otwartym samochodem przejeżdżał wtedy prezydent Mościcki, przed nim i za nim — ciągnęły żółnierze szwagronu Ułanów Zaniemeńskich. Rok 1938 miał wiele zgrzytów — postawiono ultimatum Litwie i w związku z tym odbywały się manifestacje. Potem było wkroczenie wojsk sowieckich, następnie litewskich. Wtedy też musieliśmy opuścić nasz dom. Wyjechaliśmy poza Śródmieście — na ul. Kalwaryjską, w miejscu jej rozwidlenia się z Werbowską.

— Potem, jak tysiące innych wilnian, opuścił Pan rodzinne miasto.

— Stało się to w 1945 roku. Wyjeżdżałem z matką, babcią, ojciec umarł, kiedy miałem dwa lata, pochowany jest na Cmentarzu Wojskowym na Antokolu. Przebywałem przez jakiś czas w Bydgoszczy, potem studiowałem w Poznaniu. Pracowałem wiele lat w Warszawie — w Klinice Pediatrycznej, gdzie zrobiłem doktorat. W latach 60. wytypowano mnie na stypendium do Szwajcarii, po kilku latach wyjechałem tam na

WILNO ZASŁUGUJE NIE TYLKO NA ODWIEDZENIE

Z dr Marianem T. Borkowskim rozmawia Romuald Mieczkowski

stałe. Pracowałem najpierw w Klinice Pediatrycznej w Zurychu u słynnego prof. Wradella, jednego z najbardziej znanych pediatrów na świecie. Jego poprzednik, prof. Franconi cieszył się jeszcze większą sławą. Potem prowadziłem praktykę prywatną — do 1992 roku, kiedy to tę praktykę sprzedałem. Od tego czasu nie pracuję.

— Czy więcej Polaków zamieszkuje Zurich?

— Mam kolegę, lekarza-Polaka. Znam je-

Griburgu znajduje się i działa Polska Misja Katolicka.

— Jaki jest status socjalny zamieszkałych w Szwajcarii Polaków?

— Nie ma takich, którzy zaszli wysoko. Jest kilku profesorów, sporo inteligencji, w szczególności lekarzy.

— Przybył Pan z małżonką, by pokazać jej miasto swego dzieciństwa i młodości...

— Wilno na pewno postarzało o tych 50 lat. Jeśli człowiek może poniekąd zadbać o swój wygląd zewnętrzny, to miasto — nie. I to się czuje. Gołym okiem widać braki w konserwacji budynków. To dotyczy nie tylko Wilna, ale i wielu miast w Polsce, które nie były właściwie doglądane przez cały okres powojenny. Starówka Wileńska, mówiąc językiem lekarskim, wymaga "intensywnej terapii". Cieszy, że poszczególne budynki, np. część Pałacu Radziwiłłów, mają ją za sobą i zostały odremontowane bardzo starannie, z wielką pieczołowitością. Zdziwiająco dobrze zostały odnowione wnętrza niektórych kościołów — św. Jana, św. Ducha i innych.

— Nie przeżył Pan tutaj żadnych rozczarowań?

— Wybierając się na Litwę, przypuszczałem, że jest znacznie gorzej. Naturalnie boleję nad każdym budynkiem, na którego dachu rosną drzewa. Ale pamiętam też, że Wilno, to jeden z największych starych kompleksów miejskich. Każdy, nawet najbogatszy kraj taki jak Szwajcaria, miałby kłopoty z renowacją na tak dużą skalę. A cóż dopiero Litwa, która nie ma dużych możliwości finansowych! Ale przecież coś się robi. Byłem w kościele Bernardynów — konserwatorzy z niesłychanym wysiłkiem pragną odbudować kompletnie zdewastowane wnętrza. Rozmawiałem z kierownikiem odbudowy Petrasem Kunevičiusem i zachwyciła mnie jego postawa. Z wielką dumą pokazywał mi fragmenty dotychczas nieznanego, odkryte w czasie obecnej renowacji, m.in. olbrzymi ścienny obraz z patronem Wilna —

św. Krzysztofem. Są też różne sceny z historii Zakonu Bernardynów. Zostawiłem skromne grosze, a tu są potrzebne duże sumy. Postaram się temu kościołowi w jakiś sposób pomóc, będę próbował nagłośnić sprawę jego renowacji wśród Polonii, również wśród Szwajcarów. Bez pomocy ze strony miasto nie udźwignie takich wydatków, bo są inne, niemniej pilne potrzeby. Ludziom żyje się ciężko i wcale nie byłoby zachwyceni, gdyby im jeszcze podatki podwyższyć. Tu na pewno nie obejdzie się bez pomocy międzynarodowej.

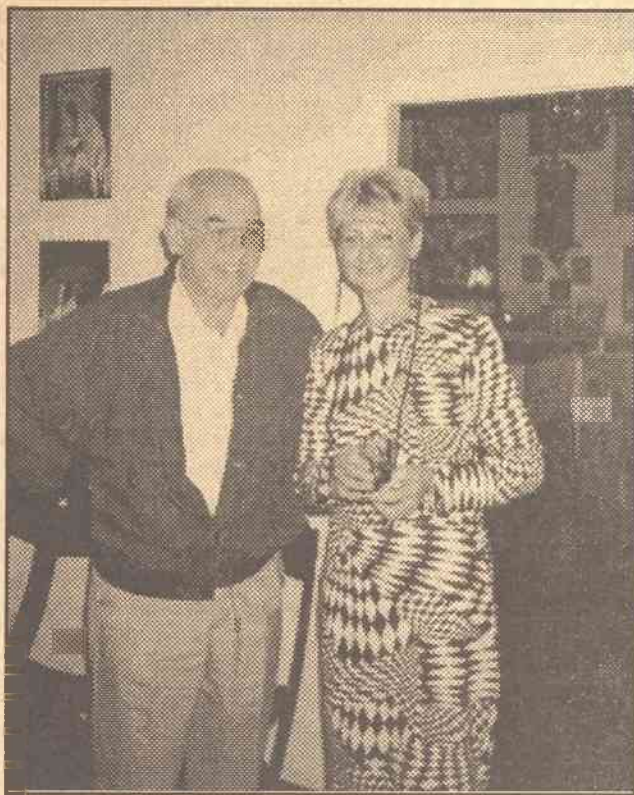
— ...doświadczenia innych krajów, chociażby współpracy. Wiadomo, coś za coś.

— To temat bardzo potrzebny. Miasto pozyskałoby wygląd, a wygląd z kolei może przynosić pieniądze. Tu jest coś pokazywać turystom. Istnieje również możliwość pomocy poprzez Polskę, która ma niewspółmiernie większe szanse wstąpienia do Wspólnoty Europejskiej. Otóż powinna ona się starać, ażeby i Litwa pozyskała szansę wejścia do UE. Inaczej między dwoma krajami powstałaby niepotrzebnie nowa przepaść. Przypuszcza się, że w ciągu najbliższych pięciu lat Polska znajdzie się w UE. Byłoby dobrze, gdyby i Litwa znalazła się w obrębie tzw. Europejskiej Wspólnoty Regionów. Tę koncepcję bardzo popierali prezydent Mitterand i kanclerz Kohl. Byli oni zdania, że przyszłość UE zależy od rozwoju właśnie poszczególnych regionów. Ważnym zadaniem w tym wszystkim jest dążenie, by rozwój całych państw w żaden sposób nie wpływał negatywnie na rozwój kulturalny i oświatowy mniejszości.

— Co by za pośrednictwem naszego pisma chciał Pan przekazać rodakom na Litwie i poza jej granicami?

— Wilno zasługuje nie tylko na odwiedzenie, ale również na troskę. Apeluję do tych wszystkich, których łączy jakieś więzy z tym miastem, aby pomogli. Chociaż jakimś skromnymi środkami. Cieszę się, że tu na miejscu są różne stowarzyszenia, które uważają, że my — Polacy, musimy znaleźć jakieś *modus vivendi* z naszymi braćmi Litwinami.

— Dziękuję za rozmowę i odwiedziny w naszej redakcji.



Dr Marian T. Borkowski w czasie zwiedzania galerii z Weroniką Wojcisz, kierowniczką PGA

Fot. Archiwum

szcze kilka osób. Polonia na początku lat 60. liczyła tu ok. 2 tys. osób, zaś w całej Szwajcarii — 5 tys. Od roku 1981, po stanie wojennym w Polsce, Polonia bardzo się powiększyła. W tej chwili liczy 20 tysięcy osób. Największe skupiska ulokowane są — w Zurychu i Lozannie. We



Nagrody dla zaangażowanych Wilnianie laureatami POLCUL FOUNDATION

Nezależna Fundacja Popierania Kultury Polskiej POLCUL FOUNDATION została założona na początku

1980 roku w Sydney (Australia) jako Company Limited by Guarantee pod nazwą Polcul Foundation Limited. Celem Fundacji jest wyróżnianie działaczy, indywidualnie zaangażowanych w tworzenie społeczeństwa obywatelskiego; swą postawą i działalnością wyrażających poszanowanie i tolerancję dla innych, poświęcających swój czas i energię dla wspólnego dobra, podejmujących inicjatywy służące demokracji i budowaniu społeczności lokalnych. Do wyróżnień Fundacji POLCUL kwalifikuje się działalność w takich dziedzinach jak demokracja na szczeblu lokalnym — inicjatywy obywatelskie; humanizacja życia, np. opieka nad fizycznie i psychicznie upośledzonymi lub niepełnymi, chorymi, narkomanami, więźniami; propagowanie pluralizmu i tolerancji, np. w stosunku do mniejszości narodowych i religijnych, rozwijanie przyjaźni i współpracy ze społeczeństwami państw sąsiednich (Litwini, Białorusini, Ukraińcy, Czesi, Słowacy, Niemcy) przeprowadzenie wspólnych przedsięwzięć itp.

Finansową podstawą Fundacji był anonimowy dar sydneyjskiego przemysłowca, którego

odsetki składały się na coroczne "polcule", przeznaczane do kraju i rozdzielane wśród działaczy niezależnych; głównie aktywistów solidarnościowego podziemia, publicystów i kolporterów "drugiego obiegu" oraz animatorów niezależnych społecznych inicjatyw, które rozwinęły się szczególnie w okresie przemian.

Dochody Fundacji składają się wyłącznie z odsetek-dotacji, oraz ewentualnych darów czy zapisów. Od chwili założenia Fundacji przystąpiło do niej kilkadziesiąt osób z Australii, USA oraz innych krajów. Wszelkie funkcje Fundacji sprawowane są na zasadzie honorowej. POLCUL nie zatrudnia żadnego personelu. Wyróżnienia Fundacji wynoszą od 500 do 1000 dolarów USA.

Dyrektorami POLCUL FOUNDATION zostali powołani: Jerzy Boniecki, przedstawiciel w dziedzinie urządzeń przemysłowych, mieszka w Australii; Krzysztof Nadolski, adwokat z Sydney; Jan Pakulski, socjolog na uniwersytecie w Hobart, Tasmania; Wojciech Zagata, informatyk z Melbourne. Dyrektorem honorowym jest Jan Dunin-Karwicki, publicysta i wydawca-redaktor "Wiadomości Polskich" w Sydney. Przedstawicielami POLCUL w Polsce są Jan Hanasz (Toruń) i Maria Suchocka (Warszawa).

O wyróżnieniach Fundacji decyduje jury, w którego skład wchodzi obok dwóch dyrektorów Fundacji (Jerzego Bonieckiego i Jana Nado-

lskiego) następujące osoby, cieszące się wielkim autorytetem i uznaniem: Mirosław Chojecki (Warszawa), Jacek Fedorowicz (Warszawa), Jerzy Giedroyc (Maisons-Laffitte, Francja), Jan Hanasz (Toruń), Gustaw Herling-Grudziński (Neapol), Helena Łuczywo (Warszawa), Jan Nowak-Jeziorański (Waszyngton), Eugeniusz Smolar (Londyn).

4 listopada 1995 roku przedstawiciele POLCUL FOUNDATION w "Domu Polskim" w Warszawie wręczyli wyróżnienia około 30 nowym laureatom. Pośród tej liczby było dwóch mieszkańców Wilna, tym razem Białorusinów: Siarhiej Dubawiec, redaktor naczelny pisma "Nasza Niwa" i Aleh Minkin, poeta i tłumacz literatury polskiej na język białoruski. On to jako pierwszy Białorusin przełożył na język białoruski poemat Cypriana Kamila Norwida, na swym koncie ma inny dorobek.

Pośród wielu laureatów POLCUL FOUNDATION są także inni wilnianie, którzy stanowią dość pokaźną grupę. Oto ich nazwiska. W 1990 roku wyróżnienie otrzymał Czesław Okieńczyk za "współpracę polsko-litewską"; w 1991 r. — Medard Czobot — za "współpracę polsko-litewską", Romuald Mieczkowski — za "współpracę polsko-litewską", Jan Mincewicz — za upowszechnienie "kultury ludowej na Litwie", Henryk Sosnowski — za upowszechnienie "historii i kultury polskiej na Litwie", Janina Liminowicz — za "współpracę polsko-litewską",

Rimvydas Valatka — za "współpracę polsko-litewską". W 1992 roku wyróżnienia (dyplom i określona suma dolarów) otrzymali Romuald Gieczewski — za "współpracę polsko-litewską", Władysław Korkuć — za "krzewienie kultury na Wileńszczyźnie", Dominik Kuziniewicz — za "krzewienie kultury na Wileńszczyźnie". W 1993 r. wyróżnienia POLCUL otrzymali: Wojciech Piotrowicz — za "pracę na rzecz przyjaźni polsko-litewskiej i kultury na Litwie", Genowefa Praniewicz — za "pracę społeczną na terenie Kowna", Petras Valickas — za "pracę na rzecz przyjaźni polsko-litewskiej". W 1994 roku został wyróżniony tylko Juozas Tumelis — za "pracę na rzecz przyjaźni polsko-litewskiej". W 1995 roku laureatami POLCUL, jak wspominałem, zostali S. Dubawiec i A. Minkin, obaj — za "współpracę białorusko-polską".

Warto jeszcze przypomnieć, że obok anonimowego założyciela Fundacji do głównych jej ofiarodawców należą: Krystyna i Bolesław Singlerowie z Melbourne, Eudoksja Rakowska oraz Irena i Ludwik Dowojno-Sylwestrowiczowie. Eudoksja Rakowska pochodzi z Torunia, natomiast nieżyjący już, niestety, Sylwestrowiczowie — z Litwy. Ludwik Sylwestrowicz urodził się w Kurszanach (Kuršėnai) na Żmudzi, zaś Irena z Ruszczyców Sylwestrowiczowa — w Wilnie.

Mieczysław Jackiewicz

NASZE MAŁE OJCZYZNY



Wcześniej czy później człowiek się przekonuje, że rodzinna wieś, miasteczko, zaścianek są znacznie ważniejsze niż ten obcy, bliżej nieokreślony "świat" i że jest naprawdę mocno z tą swoją małą, prywatną ojczyzną związany. Utkwiło mi w pamięci napotkane gdzieś stwierdzenie, że można istotę narodowych społeczeństw, cywilizacji, wielkich religii odnaleźć w skróconej formie w małych miasteczkach i wsiach...

...Bujwidze istniały w trzech postaciach. Był majątek ziemski Bujwidze, należący do Makowskiego, przedwojenno-marszałka sejmu czy senatu, majątek przylegający bezpośrednio do Wilii. Było miasteczko Bujwidze, do którego wiodła marna droga z majątku. A to miasteczko to było pięć czy sześć domów oraz kościół z plebanią i cmentarzem. A za kościołem i cmentarzem położonym na łagodnym wzgórzu była jeszcze wieś Bujwidze.... A na tym placu parę razy do roku odbywały się "festy", wielkie jarmarki w dni jakichś świętych patronów, wielkie zjazdy kupców, handlarzy, oszustów, złodziejaszków, chorych i ułomnych. Co tam się działo na tym pochyłym placu wypełnionym gęsto kramami, straganami, strzelnicami, a nawet karuzelami. Tych festów, to nawet Manhattan mi nie przyćmił...

"Wschody i zachody księżycy"

Festy się odbywały i obecnie. Tyle że dawno nie są tak huczne i ludne. Domków zaś było i jest znacznie więcej. Co tam, zresztą, mógł zapamiętać kilkuletni brzdąk, mieszkający przez kilkanaście miesięcy u ciotecznej babki w jednym z domków tuż przy placu kościelnym. Nawet jeżeli stał się potem bardzo znanym pisarzem. Obraz, tak bardzo miasteczkowego miasteczka na kresach wschodnich — to Bujwidze Tadeusza Konwickiego.

Znam jeszcze Bujwidze Wacława Kapusty — znanego polskiego fotografa, zamieszkałego w Olsztynie. Kilka domów, ocienionych niskimi chmurami zastygło na przyćmionej fotografii przedwojennej. Na innej — piękna dziewczyna z bukietem lilii wodnych uśmiecha się słodko — najładniejsza w okolicy — Romka Poszewicka. Osiedla wraz z braćmi aż we Wrocławiu. Musieli wyjechać, aby nie wpaść w łapy NKWD. Oni też na pewno zachowali na kliszy pamięci swój obraz rodzinnego miasteczka...

Jakie są moje Bujwidze? Wiem już teraz, że wzmianki o nich w Litewskim Archiwum Państwowym pochodzą z XVI wieku, że piękny pałac, opisany przez hrabiego Tyszkiewicza w monografii "Wilija i jej brzegi" został wybudowany przez Michała Radziszewskiego, że dobra należały niegdyś do Brzostowskich, że nad Wiliją stał przed wojną duży dom wypoczynkowy, a przy wjeździe do miasteczka — remiza strażacka...

MOJE BUJWIDZE

Znam imiona Żydów, którzy po wojnie już nie wrócili. Mogę sobie wyobrazić, jak dumnie nosiła głowę młoda, ładna Litwinka, nauczycielka Pietkelitė, pracująca w szkole w pierwszych latach powojennych i jaki zachwyt budziły nieme filmy, wyświetlane w domu parafialnym.

Ale czy to moje Bujwidze? To Bujwidze młodości wszystkich tych, których "od zawsze" nazywano "bujwidzką szlachcią" — Jedargisów, Poszewickich, Gałęckich, Lewarowskich. Że nieliczni mogli się pochwalić naprawdę szlacheckim pochodzeniem? Ale się różnili — mową, zachowaniem, "delikatnością". Przyjeżdżesz, bywało, do którejś z sąsiednich wiosek, czy to Ławaryszek, czy Bystrzycy, zarozumiasz po polsku i zaraz słychać "O, hładzi, Bujwidzki szlachci przyjechał..."

Jakież są moje Bujwidze? Rodzice przybyli do tej odległej miejscowości w roku 1960, kiedy miałam dwa lata. Od razu zostali przyjęci jako "swoi", a nas, dzieci, nigdy nie izolowali od rówieśników. Taplaliśmy się z miasteczkową dzieciarnią w kałużach, łapaliśmy oklejki i ślize w rzece Bujwidze i kilka razy dziennie kąpaliśmy się w Wilii. Latem wyruszało się na dalekie wyprawy po grzyby do Aloksy albo po czernicę do rojstów pod Pilwiskami. Zimą zaś organizowaliśmy co

wiedzieliśmy, nie umieliśmy, nie rozumieliśmy. Jak wiele się nam nie mówiło. Śpiewaliśmy przecież z przejęciem "Sziroka, strana moja, radnaja" albo "Pomniat psy atamany, pomniat polskije pany konarmiejskije nasz polki..."

Przewracali się w grobach na bujwidzkim cmentarzu polskie pany, oj przewracali. A myśmy nie tylko o wielu wspaniałych ludziach nie wiedzieli, nie wiedzieliśmy też o oddziałach Łupaszki z okolicznych borów i o łapankach NKWD, i o zesłanych do Krasnojarska i Irkucka... Musieliśmy, jako młodociani pionierzy, a potem komsomolcy-wiedzieć, że odpowiedź na hasło "Do walki o sprawę partii komunistycznej, bądźcie gotowi!" powinno być dziarskie — "Zawsze gotowi!" A że się nie zastanawiało, na czym ta "sprawa" miała polegać... No cóż, długo nikt się za wiele nie zastanawiał i nie miał wyboru. Mój Boże, przecież już jako początkująca nauczycielka uczyłam dzieciaki w swojej szkole przeprowadzania zbiórek, marszów, historii pionierskich orderów. Uczyłam też śpiewać po polsku, tańczyć poloneza, sprzątać przystanek autobusowy, znajdujący się tuż naprzeciwko kościoła i dbać o opuszczone mogiły na wiejskim cmentarzu... Czuję się strasznie stara, kiedy myślę, jak wiele się za tych kilka lat

ostatnich wydarzyło. I, na szczęście, zmieniło. Teraz dzieci mogą zaśpiewać "Rotę". Teraz w szkole jest czarujący zespół ludowy, są stroje, ufundowane przez patronów z Polski i wyjazdy na zagraniczne kolonie. A krakowiaki tańczą zespołanki lepiej niż "tutejsze" poleczki. Tylko przystanku czemuś nikt nie sprząta. Nie ma pionierów...

Ciekawa jestem, jakie są Bujwidze Ryszarda Maciejka — polityka, prezesa ZPL-u i Zygmunta Mackiewicza, profesora, biologa, którzy tutaj się uczyli i dorosli...

Albo Władimira Żonnych, nauczyciela fizyki, absolwenta Uniwersytetu Moskiewskiego, który przybył do miasteczka przed kilkunastu laty z dalekiej Syberii...

Fot. Archiwum

Albo Vytautasa Żwilauskasa, lituanisty, który "wymienił" pracę w szkole podmiejskiej na daleką polską osadę nad Wiliją.

Moje Bujwidze — to ludzie, którzy tu mieszkają. Którzy odbudowali spalony kościół i wzniesli pomniki przeszłości, straszące betonowymi ścianami "obszczeżycia" i niedoszłej kołchozowej "kontory".

To zachwycające zachody słońca nad lasem, stare klony i lipy, pozostałe z dworskich polisad, majowe powodzie czeremchy i kaskady melodii, oszalałych z zachwytu słowików.

To wiosenny zapach ziemi i nitki babiego lata zaplątane w ścierniskach, ciepły deszcz nad Wiliją i liliowe wrzosa wśród wysmukłych sosn.

To rodzinne Wigilie, na które się zawsze i zewsząd przyjeżdżało. I ciepłe płomyki świec w wieczór Zaduszek na starych i nowych grobach wiejskiego cmentarza.

To było — pisze Konwicki — miasteczko z ogromnego archipelagu takich samych miasteczek... Stamtąd wyszło na Europę i Amerykę wszystko, co najlepsze, wszystko, co tę starą Europę i młodą Amerykę pchnęło do przodu. Stamtąd czasem też coś wyskoczyło niezbyt udanego, ale o tym zamilczmy...

To jest małe polskie miasteczko na granicy Litwy i Białorusi, kilkadziesiąt kilometrów od Wilna. Któż to wie, jak się zmieni i co z niego jeszcze wyjdzie czy wyskoczy.

Anna Adamowicz
Wojdą



Najważniejsza budowla miasteczka — drewniany kościół przed pożarem, dziś znów odbudowany

niedzieli ślalomu narciarskie na "Katuszy", zawody saneczkowe na górze "Garbaci" i mecze hokejowe na Wilii. Bo przed laty rzeka zamarzała tak solidnie, że saniami przejeżdżano na drugą stronę, a śniegu bywało tyle, że czasami, ku uciechu dzieciarni miejscowej, "nie przychodził" autobus, dowożący uczniów do szkoły i — mieliśmy wolne. Oczywiście, nie bacząc na trzaskający mróz, wyruszyliśmy na sanki i narty.

No tak, moje Bujwidze — to szkoła. Nasza stara szkoła z dużym szkolnym placem, miejscem zbiórek na pogaduszki i mecze siatkówki w ciepłe letnie wieczory. Z ogrodem, w którym "na robotach" czyli lekcjach prac, pleliśmy buławy i marchewkę, z "białym domkiem" — toaletą, chodzenie do której dla młodszych brzdąków było wspaniałym przerwaniem nudnych lekcji. Nie przesadzajmy, było ich sporo. Ale sporo też było lekcji wspaniałych. I u czarującej lituanistki, pani Heleny, która "łajała" nas dobrotliwie: "Wiapły, w głowie miekina, jak wysypiesz krowy jeść nie będą". I rusycystki, pani Ani. I u fanatki sportu — pana Tadeusza, który uczył zaciskać zęby, wytrzymywać zmęczenie i zwyciężać. To z nim jeździła drużyna narciarzy szkoły do Lenina, Moskwy, Syktywkaru. I u wspaniałej polonistki, pani Maryli. To z nią wystawialiśmy "Wołodyjowskiego", "Zemstę" i ballady Mickiewicza. To ona przekazała wielu z nas bakcyla chęci zostania tylko i wyłącznie nauczycielką! Co roku spora garstka absolwentów zbiera się na tradycyjne spotkania w nowej, "nienaszej", ogromnej szkole i niezmiennie stwierdza: "Było nam tu fajnie".

Teraz myślę czasem, jak wiele wtedy nie



Życzenia świąteczne swym Klientom i Partnerom składają:

Kawiarnia "Alina"
Pylimo 49, Vilnius, otel. 622094

Firma "ENERVIL"
Sodų 4, Vilnius, tel. 224009

Dom Wysyłkowy "Juliandra"
Geležinkelio 6, Vilnius, tel. 636192

Firma "KLION"
Birtinių 4, Vilnius, tel. 618385

BUDIMEX S.A.
Aušros vartų 5, Vilnius, tel. 223539

Predstawicielstwo m.Łodzi w Wilnie
Pilies 7, Vilnius, tel. 612428

"OPTIMUS" S.A.
Kalvarijų 125, Vilnius, tel. 777237

Księgarnia Stanisława Korczyńskiego
Aušros vartų 9, Vilnius, tel. 625506

"Słownik Polskich Pisarzy Współczesnych Wileńszczyzny"

autorstwa Eugeniusza Kurzawy
— książka, którą warto mieć na półce.
Zainteresowani mogą ją nabyć u wydawcy, którym jest:

Lubuska Oficyna Wydawnicza,
65-536 Zielona Góra
ul. Wyszyńskiego 29, tel. 26-68-09

Oferujemy kasety wideo "Kalejdoskop Wileński"

z najciekawszymi zabytkami Wilna (Ostra Brama, Św. Ducha i in. kościoły), miejscowościami Litwy (Góra Krzyży, Szydłów, Druskiemniki, Troki, Powiewiórka i in.), fragmentami występów polskich zespołów artystycznych ("Wilija", "Wileńszczyzna", "Kapela Wileńska", Teatr Polski w Wilnie).

Cena 3-godzinnej kasety — 40 Lt. Przy wysyłce pocztowej zagranicę — 10 USD (albo równoważność w złotych RP lub innej walucie) plus koszty przesyłki. Do Polski — i krajów Europy — 12 Lt (3 USD). Pieniądze można wpłacić na konto w Warszawie lub przysyłając czek na nazwisko redaktora lub wydawcy.



"Znad Wilii" — niezależny dwutygodnik społeczno-kulturalny
Adres redakcji: 2001 Vilnius, ul. Išganytoja 2/4, tel.: 224245, fax 223455; Polska Galeria: tel.: 223020
Red. naczelny: Romuald Mieczkowski. Wydawca: VanRoma S.A. — prezes Wanda Marcinkiewicz-Mieczkowska
Konto: 400467987 Komercinis bankas "Vilniaus bankas", kod 260101777
* Skład komputerowy. Druk offsetowy * Drukarnia S. A. "Spauda" * SL 160 * Indeks 67248
* Podpisano do druku 15 grudnia 1995 r.

Oferujemy swe usługi przy kopiowaniu o formatach nie większych A3.
Zamówienia — nie mniej niż 500 egz.
— prosimy zgłaszać telefonicznie:
224245 i 223020

ZNAD WILII
1995.12.15-31

Księżniczka z Liege

Korespondencja własna Leokadii Komaiszko

Słyszała, jak cicho wstawał, szedł do łazienki i kuchni. Potem pośpieszne kroki w holu i trzaśnięcie drzwiami. Pojechał. Na 10 godzin do pracy. Chciała nie myśleć o budzącym się dniu. Próbowwała zasnąć. I tak nie miała nic do roboty. Sen nie przychodził. Wyciągnęła z nocnej szafki podręcznik do nauki francuskiego. Zapaliła światło. Zaczęła czytać. Nie szło. Myślała o tym, że znowu przez cały dzień będzie sama. Bez konkretnego zajęcia, bez towarzysztwa. W ogromnym domu, otoczonym lasem. Luksusowej

urodziła się w centrum małego polskiego miasteczka. Odkąd pamięta, dom zawsze był pełen ludzi. Matka przepadała za koleżankami. Tę cechę charakteru odziedziczyła też Renatka. I urodę dostała po matce. Już jako mała dziewczynka była wszędzie podziwiana. Białe loczki, niebieskie oczy...

Później niejednemu chłopakowi zawróciła w głowie. Znosiła dla niej kwiaty, bili się o jej względy. Ale żaden nie mógł się pochwalić, że z nią chodzi. Przyjmowała adoracje, pozostając jednak zawsze niedostępna. Wiedziała dobrze, że małomiasteczkowość jest nie dla niej. "Jeśli będziesz miała głowę, to z twoją urodą zajdziesz, córko, daleko" — powtarzała nieraz matka.



Renatka nie była pilną uczennicą. Mimo to maturę zdała pomyślnie. Potem, praktycznie bez znajomości języków obcych, została sekretarką w firmie, handlującej z zagranicą. Nieraz wystarczył uśmiech, by panowie mieli serce jak czekoladowy piernik.

Pewnego popołudnia, jak zwykle, siedziała z koleżanką przy małej czarnej. Rozmawiały o chłopakach, pracy i o Belgii, z której Ania dopiero wczoraj wróciła. Jeździła do Antwerpii na parę dni jako przedstawicielka firmy. Tam poznała Polaka, który bardzo chwalił belgijską codzienność i obiecał znaleźć jej narzeczonego, gdyby chciała tu zamieszkać. Dziewczynę to raczej rozbawiło. Miała w Piaskowie chłopaka i gdyby kiedyś zdecydowała się na wyjazd z Polski, to tylko z Andrzejem.

Renatka nia miała tu nikogo. Ciekawa była tego "tam", więc poprosiła koleżankę o adres. A wieczorem napisały z matką do niego list. Odpowiedź przyszła niespodziewanie szybko. W kopercie znajdowało się kilka ofert panów w różnym wieku. Renatka miała wybrać. Zatrzymała się na młodym lekarzu z okolicy Liege. Na imię miał Jean, czyli Janek po polsku.

I zaczęło się. Posyłały się listy. Renatka pisała po polsku, Jean po francusku. Znajomy z Antwerpii tłumaczył. Młody Belg wydawał się Renatce coraz bardziej interesujący. Nie był nawet taki przystojny, ale inteligentny, "dobrze urodzony" i wychowany. Po kilku miesiącach Jean przyjechał do Polski. Służbowo. Spotkali się.

Na pierwszą randkę dziewczyna przysłała z dwoma opasłymi słownikami. Francusko-polskim i angielsko-polskim. Niepotrzebne były zresztą. Czuła się tak zażenowana, że stać ją było tylko na czarujący uśmiech i twierdzące: "Oui" (tak — po francusku — aut.). Młody Belg tak był zauroczony piękną Polką, że przez cały

wieczór trzymał jej dłoń w swojej. Nie mówił wiele. Podobali się sobie.

Potem nastąpiło drugie spotkanie i trzecie. Jean prosił Renatkę, by chciała przyjechać do Belgii "na próbę wspólnego życia". Nie proponował małżeństwa, nie dał pierścionka zaręczynowego ani kwiatów, tylko tak właśnie powiedział: "Próba wspólnego życia".

Nie zabrzmiało to swojsko. Ale Renatka wiedziała, że Belgowie na początku są bardzo wstrzeмиeliwi. Przyglądają się, szukają zaufania, nie obdarowują prezentami. Wszystko przychodzi potem. Wiedziała, że Jean jest zamożny. Ma dobrą pracę, dwa samochody, świeżo kupioną willę w pięknej dzielnicy. Matka dziewczyny też mówiła: "Jedź, tam będziesz miała dostatek do końca życia. Co w tej szarej Polsce wysiedzisz".

Wsiadła w autobus i pojechała. Jean spotkał ją białym mercedesem. Jeszcze tegoż wieczoru poszli do przyjaciół Jeana, też lekarzy. Przedstawił ją jako swą narzeczoną. Pierwszy raz o niej tak powiedział. Uśmiechała się, starała się być uprzejma, ale gospodarze przyjęli ją dość oschle. Dopiero później zrozumiała, że zazdrościli jej urody, obycia i nawet tego, jak była ubrana. Spodziewali się wystraszonej myszki, a ona okazała się dziewczyną z klasą.

Psuli potem jeszcze nieraz pomiędzy nią a Jeanem. Cierpiała długo, płacząc w łazience, albo do słuchawki, telefonując matce. Aż w końcu postawiła sprawę przed narzeczonym jasno: "Albo ja, albo oni". Jean nie rozmawiał przez dwa wieczory. Potem przestali u znajomych bywać.

Mieszkała więc na Zachodzie! W belgijskim królestwie! Pisała do koleżanek radosne listy, że jest szczęśliwa, kochana, że Jean ją uwielbia itd.

Kochał ją z pewnością. Ale na swój egocentryczny sposób. Z dystansem. Nigdy nie porwał ją w ramiona jak szaleniec, nie obsypał kwiatami czy sznurem komplementów. Gdy o tym myślała, tak bardzo tęskniła za "narwanymi" polskimi chłopakami. I pytała się nieraz w duchu, co tu właściwie robi.

Nie bywali praktycznie nigdzie. Jean pracował nawet w soboty. Niedziela służyła do wykańczania domu. Czasem wpadała matka Jeana czy rodzeństwo. Ścisłali Renatkę, mówili coś do niej, z czego rozumiała pojedyncze słowa. Francuski nie szedł jej łatwo.

Płakała całymi dniami. Willa ogromna, ciemna, pusta. Wkoło las. Opodal są inne domy, ale też jakby wymarłe. Tak tu inaczej niż w Polsce. Ciągnęła ją do miasta. Bywałyby w Liege codziennie! Włóczyłaby się po sklepach, przysłuchiwałaby się przechodniom — a nuż znajdzie swojską duszę Polaka? Tymczasem była skazana na zamknięcie. Jean jeździł do pra-



dzielnicy Liege, która wydaje się być zwykłym pustym i martwym odludziem.

Wieczorem wróci Jean. Człowiek, który ją nie zawsze rozumie. Zmęczony, nie będzie miał chęci na wysłuchanie jej skarg. Nie przyniesie nawet małego kwiatka.

Boże, czy tak sobie wyobrażała życie na Zachodzie? Płakała. Gdyby ktoś ze znajomych przyjechałby po nią do tej belgijskiej wioski, nie zastanawiałaby się ani chwili. Spakowałaby rzeczy i tyle ją by narzeczony widział!

cy samochodem. W garażu stał drugi, ale nie miała odwagi wsiąść i pojechać. Autobus? Do najbliższego przystanku — 20 kilometrów!

Myślała, że nie wytrzyma tak dłużej. Marzyła o ciuchach, nowych perfumach. Narzeczony nic jej nie kupował. Nie dostawała też kieszonkowych. A przecież — jak wtedy myślała — zarabiał krocie! Żeby to Polak miał tyle pieniędzy, dziewczynę wystrzeliłby jak księżniczkę!

Po trzech miesiącach takiego życia w Belgii pojechała do Polski. Jean odprowadził ją do pociągu. Tuż przed wsiadaniem poprosiła: "Nie dasz mi nawet na taksówkę, by dojechać z dworca do domu?" "Ile?" — zapytał. Powiedziała. Wyjął portfel i odliczył. Ani grosza więcej nie dołożył.

Już w pociągu postanowiła nigdy tutaj nie wrócić.

Polska. Romantyczna, ciepła i trochę jakby z przeszłości. Koleżanki, zauroczone opowiadaniami Renatki o willi, mercedesie, butikach w Liege. Płacząca z radości matka: "A nie mówiłam, córko, że pójdziesz daleko?" Chłopcy ulegli jeszcze bardziej niż kiedyś: "Ach, ty nasza belgijska księżniczko..."

Po dwóch tygodniach wracała. Była pewna, że przetrwa najgorsze, by zostać z Jeanem.

Prasowała, gotowała wymyślne obiady — zdawała egzamin na żonę. Kiedy płakała czasem z tęsknoty czy samotności, kryła się przed Jeanem.

Po paru miesiącach kupił jej pierwsze pantofelki. Te z Polski były już zupełnie do niczego. Narzekała więc, że w bogatym kraju musi chodzić boso. Pewnego razu zwymyślała narzeczonego od skąpców. Uśmiechał się pobłażliwie. Aż któregoś dnia zabrał ją do Liege. Kupili bar-



dzo drogie czółenka "Marie-Claire". Jean nie lubił tanich sklepów i bylejakich rzeczy. Leżało to w tradycji jego rodziny i otoczenia.

Po dwóch miesiącach pantofle się rozdeptały i trzeba było pomyśleć o nowych. Narzeczony nic nie chciał słyszeć. Zastanawiała się wtedy nad tym, jak przekonać go co do kieszonkowych. Mogłaby wtedy kupować sama. Taniej i częściej.

Znowu więc toczyła walkę. Mówiła, że jest przecież jego narzeczoną, że powinna mieć jakieś własne pieniądze, że w Polsce była niezależna, że nie jest dzieckiem.

Ustał. Odtąd miała co miesiąc kilka tysięcy franków na własne potrzeby. Jakże się cieszyła!

Po roku wspólnego życia wzięli cywilny ślub. Renatka musiała nareszcie zalegalizować swój pobyt w Belgii. Marzyła o ślubie kościelnym, z hucznym przyjęciem, ale Jean uważał to za niepotrzebny wydatek. "Muszę spłacać pożyczkę na dom, samochody. Może kiedyś, gdy mocniej stanimy na nogach..."

* * *

Biegła przez Place Catedrale z rozwianym włosiem. Jak zawsze, piękna i dumna. Arabowie starali się pochwycić jej spojrzenie. Zobaczyła mnie. Przywitałyśmy się. Po chwili siedziałyśmy w jednej z kawiarni. Opowiadała o Jeanie, o sobie, o tym, że spodziewa się dziecka. Czuła się najszczęśliwszą kobietą na świecie. "I pomyśleć tylko, że gotowa byłam kiedyś to wszystko porzucić. Żałowałabym potem pewnie przez całe życie..."

Edukacja artystyczna

Od szkoły muzycznej — do konserwatorium

Z Mikołajusem Novikaszem; kompozytorem, dyrektorem Konserwatorium Wileńskiego rozmawia Wojciech Piotrowicz

— 55 rocznica kierowanej przez Pana uczelni — to dobra okazja dla chociażby bieżącego przypomnienia jej dziejów.

— 9 listopada 1940 r. przez ówczesne władze podpisany został dekret o utworzeniu w Wilnie szkoły muzycznej. Pierwszym jej dyrektorem był prof. Jonas Bendorius, a wśród wykładowców — znany polski pianista, profesor i dyrektor Konserwatorium Wileńskiego w latach 1934-39 Stanisław Szpinalski. Szkoła jako jedna z nielicznych była czynna przez cały czas podczas okupacji faszystowskiej, mieściła się wtedy przy Skopówce. Po wojnie dyrektorem był dzisiejszy nestor muzyki litewskiej prof. Konradas Kavakas. Z czasem szkoła otrzymała gmach przy ulicy Ostrobramskiej, nadano jej imię kompozytora Juozasa Talat-Kelpšy, zaistniała jako technikum muzyczne, a rok 1993 przyniósł połączenie ze szkołą kultury i nową rangę — Konserwatorium Wileńskiego.

— Zatrzymajmy się przy dorobku uczelni.

— Za 55 lat było 47 promocji wydziałów dziennych i 139 zaocznych. Wykształcono 4512 dyplomowanych specjalistów od muzyki, w tym 735 zaocznie, około 300 osób otrzymało dyplomy z wyróżnieniem. Kierunek — kultura — w cyfrach wygląda tak: ogólna liczba dyplomów — 7826, w tym na wydziałach dziennych — 4426. Obecnie w konserwatorium pracuje 166 wykładowców i koncertmistrzów, niektórzy są u nas po ponad 35 lat, a 76 osób — to byli wychowankowie uczelni. Konserwatoria są w Kownie, Szawlach, Kłajpedzie oraz Poniewieżu, ale nasze — najliczniejsze i łączy w sobie ponadto oprócz muzycznych inne kie-

runki związane z kulturą, dorównujące liczebnością słuchaczy tym — muzycznym. Ogólna liczba uczącej się młodzieży aktualnie stanowi pół tysiąca osób. Najwięcej kształcimy dyrygentów chórów. Najmniej — na kompozycji i teorii muzyki. Co się tyczy muzyki, to uczymy wszystkiego oprócz śpiewu solowego. Mamy licząc się chór mieszany, szeroko znana i popularna jest nasza orkiestra akordeonistów.

— Jeżeli są, to jak się przedstawiają kontakty uczelni z Polską?

— Ponad 6 lat utrzymujemy więź ze szkołą muzyczną II stopnia w Sochaczewie poprzez wymiany koncertowe, wzajemne odwiedzanie się grup młodzieży i wykładowców. Podobnie ze szkołą I i II stopnia im. Chopina w Warszawie. Zadzierzgnęliśmy nową znajomość ze szkołą muzyczną II stopnia w Brzegu poprzez pracującą tam naszą wychowankę. Do wymiany dojdzie chyba jeszcze w tym roku akademickim. Na pierwszy rzut myślimy skierować właśnie akordeonistów.

Czasy dla oświaty, kultury dziś nie są łatwe. Staramy się czynić, co w naszych warunkach możemy. No, a bieżący grudzień mija nam pod znakiem 55 rocznicy uczelni, mamy w związku z tym sporo różnych imprez. Chętnie wszystkich zapraszamy. Zapraszamy też do aktywniejszego wstępowania do nas na naukę, bo, na przykład, młodzież z rejonów "podwileńskich", gdzie przecież sporo Polaków, nie jest zbyt licznie przedstawiona.

— Życzę dalszych sukcesów, dziękuję za rozmowę.

— Dziękuję.